NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7 Nr TEL. 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 19 czerwca 1909. Nr. 25.

Ohydny mord.

Treść na str. 2.



Nr. 25. „Nowości Illustrowanych“ przynosi: Święto sokole. — Jubileusz Akademii dublańskiej. — Z biednego subjekta milionerem. —
Wybuch prochowni. — Sensacyjne zdjęcia mieszkania ś. p. Lewickiego, gdzie został zamordowany.
Piec z resztkami spalonych przez Borowską papierów. Ku czci żyda bohatera. — Przesilenie na Węgrzech. — Zjazd łowiecki we Lwowie. — Wycieczki do Warszawy. — Uczczenie kapłana patryoty. — Śmierć polskiego dostojnika Kościoła. itd.

Ohydny mord.

(Do illustracyi tytułowej).

Mimo znacznego postępu oświaty i cywilizacyi, widocznego niewątpliwie w naszym kraju, wydarzają się od czasu do czasu zbrodnie, które dreszczem grozy przejmują z powodu swego okrucieństwa i wywołują w duszy ogółu wątpliwości, czy praca tyloletnia nad uszlachetnieniem pojęć i oświatą ludu wiejskiego, nie idzie na marne.

Właśnie przed kilku dniami wydarzył się w Nowosiółkach kardynalskich wypadek, który świadczy o niezwykłem zdziczeniu uczuć i umysłów tamtejszej ludności. Oto p. Borowski, właściciel obszaru dworskiego w Nowosiółkach, przyjął do siebie w charakterze pisarza i dozorcy gospodarstwa pewnego wygnańca politycznego, zbiegłego z gubernii drenburskiej, człowieka biednego, ale niezwykłej uczciwości i uczciwości. Pisarz ów przyłapał niedawno jednego z parobków na kradzieży, skarcił go więc surowo i uderzył patykiem po plecach. Fakt ten wywołał we wsi ruskiej wielkie wzburzenie przeciw „Lachom“, a oburzenie to, wywołane zresztą sztucznie przez agitacyę, dało pochop do strasznej zbrodni.

Rodzina mianowicie ukaranego parobka, chcąc się zemścić na pisarzu, wpadła w nocy do jego ubogiego mieszkania i w niesłychanie okrutny sposób zamordowała go, kopiąc, i bijąc luśniami.

Żandarmerya wyśledziła wnet sprawców ohydnego mordu i przyaresztowała ich.



Fot. M. Münz, Lwów.

Ku czci żyda-bohatera: Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej Berka Joselowicza w ulicy jego imienia, podczas przemówienia wicepr. dr. Rutowskiego.

Ku czci żyda-bohatera.

W pamięci narodu polskiego po wieczne czasy czcią otoczone będzie nazwisko Berka Joselowicza, jako jednego z najbardziej zasłużonych synów Ojczyzny, tego Berka, „sławnego żyda“, jak o nim powiada piosnka ludowa, co był „człek sumienny, Polak prawy“ i który „nie kwaterką, ni szacherką, lecz się krwią dorobił sławy“.

Berek Joselowicz pochodził z litewskiego miasteczka Kretyngi, gdzie ojciec jego trudnił się handlem. On sam podrósłszy, rozpoczął zawód kupiecki jako faktor przy dworze ks. biskupa Massalskiego, przyczem zaznajomił się ze stosunkami współczesnymi, nabrał ogłady, a także przejął się gorąco hasłami postępowemi. To też kiedy w Polsce wybuchło powstanie Kościuszkowskie, Berek Joselowicz pospieszył pierwszy w jego szeregi, a nadto uformował osobny żydowski pułk lekkiej jazdy. Pod Warszawą pułk ten niemal w całości poległ, on sam zdołał ocalić życie i zbiegł pod sztandary napoleońskie. W legionach polskich okrył się znowu wielką sławą, a wróciwszy z nimi 1809 r. do ojczystych stron, w walce pod Kockiem życie położył.

Ze względu na jego zasługi, żona jego Ryfka i syn Józef pobierali dożywotnią pensyę ze skarbu



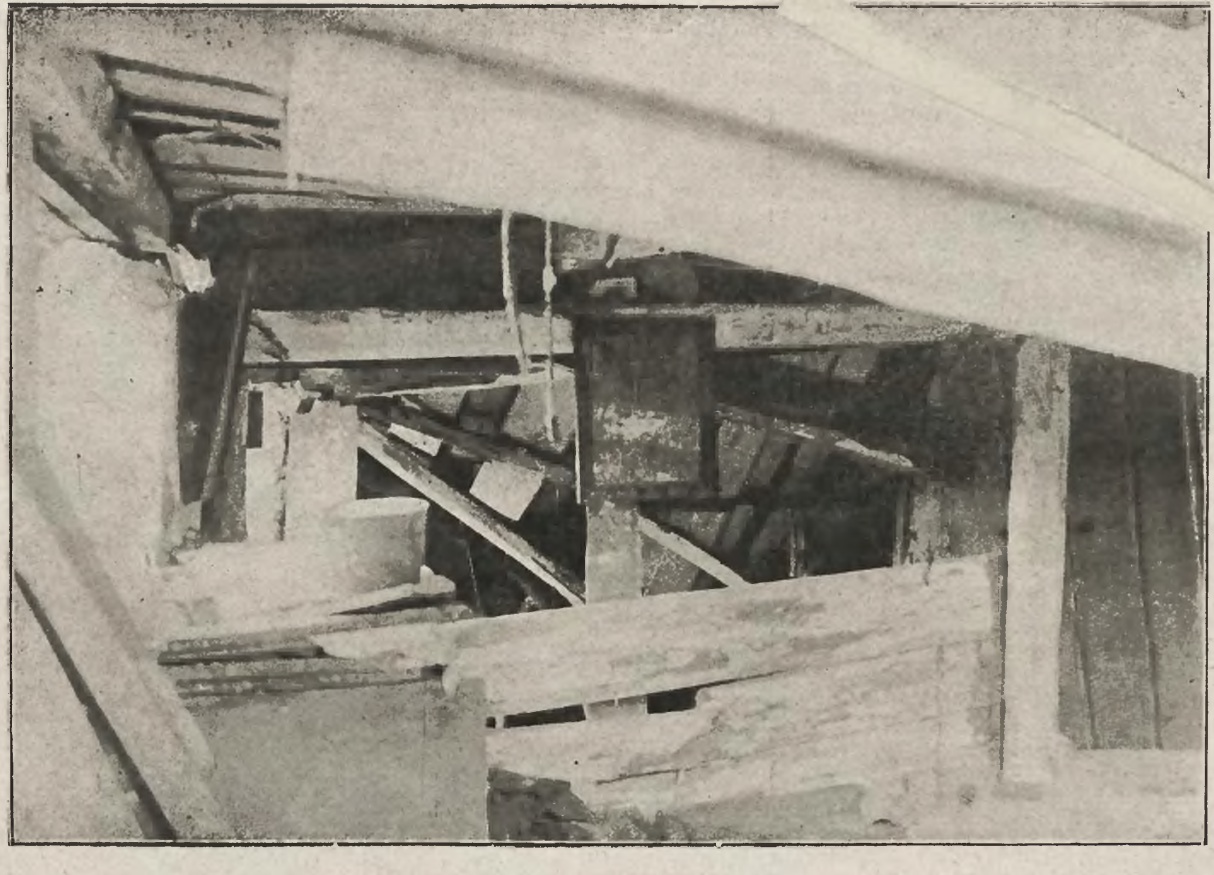
Po wybuchu prochowni: Oddział żołnierzy piechoty, obozujący w pobliżu miejsca katastrofy.

państwa. W ślady ojca wstąpili również syn Józef i wnuk Leon. Józef walczył w szeregach Napoleońskich, a następnie w powstaniu listopadowem, w tem ostatniem ze swym synem, a wnukiem Berka, Leonem.

Tak więc trzy pokolenia tej samej rodziny żydowskiej niosły zdrowie i życie w ofierze Ojczyźnie, zyskując wdzięczność i miłość rodaków. Te trzy pokolenia żydów-bohaterów są dowodem, że żydzi potrafią być dobrymi synami narodu i że na odwrót naród umie uczcić swych bohaterów, bez względu na wyznanie, do którego należą.

Stolica Galicyi uczciła też pamięć Berka Joselowicza w setną rocznicę jego śmierci bohaterskiej, nazywając jego imieniem jedną z ulic. W ubiegłą niedzielę odbył się bardzo uroczysty obchód na cześć żyda bohatera, połączony z odsłonięciem pamiątkowej tablicy.

Zdjęcie nasze przedstawia scenę z uroczystości w ul. Berka Joselowicza, w czasie przemówienia wiceprezydenta dr. Rutowskiego.



Po wybuchu prochowni: Wnętrze domu Xopciów, zdemolowane przez wybuch.

Sokolnia na kresach.

Wielką uroczystość obchodził w ubiegłą niedzielę „Sokół“ w Zbarażu. Odbyło się mianowicie w dniu tym poświęcenie kamienia węgielnego pod gmach sokoli. Gmach ten, wznoszący się zwolna dzięki wielkiej energii i poświęceniu Polonii miejscowej, będzie dowodem, że społeczeństwo nasze i tam na kresach żyje i pamięta o swych obowiązkach.

„Sokół“ zbaraski przechodził w ciągu swego istnienia kilkunastoletniego smutne koleje. Główną przyczyną tego był brak sokolni, brak odpowiedniego lokalu, co uniemożliwiało rozwój towarzystwa i wypełnienie celów, dla których zostało zawiązane. Dopiero od 5 lat datuje się żywszy rozwój gniazda sokolego dzięki temu, że OO. Bernardyni przyjęli je pod swój dach.

Dużo zasługi około rozwoju „Sokoła“ zbaraskiego poniósł jego prezes, sekretarz sądu p. Majewski, który pracując usilnie nad podniesieniem ducha patryotycznego wśród mieszkańców tamtejszych i skupiając coraz większe zastępy członków, doprowadził do tego, że w tym już roku stanie nowy gmach sokoli.

Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego zgromadziła tysiączne zastępy publiczności i ludu wiejskiego z okolicy; przybyły też delegacye sokole z sąsiednich gniazd. Po mszy świętej, odprawionej przez ks. gwardyana Szpilę, który następnie dokonał aktu poświęcenia oraz przemówił gorąco do zebranych, wygłosili jeszcze mowy: prezes okręgu i prezes zbaraskiego gniazda.

Na zakończenie uroczystego dnia odbył się w ogrodzie Zamku wspaniały festyn.

Zdjęcia nasze przedstawiają fragment z uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego i grupę członków wydziału.



Po wybuchu prochowni: t. zw. „Koszary salinarne“ w Podgórzu.

Wycieczki do Warszawy.

Do licznych zasług ruchliwej „Straży Polskiej“ należy urządzanie wycieczek z Galicyi do Warszawy.

Czy mamy powtarzać stare i uznane „prawdy?“ Czy mamy dowodzić, że wycieczki kształcą, że „cudze znać dobrze, lecz swoje potrzeba“, że są mury, które uczą, że są kamienie, co do serc przemawiają? Lub może mamy przekonywać, że im lepiej swoi się znają, tem lepiej się rozumieją?

Tymczasem śmiało można powiedzieć, że na stu Galicyan znających Wiedeń, na pięćdziesięciu znających Budapeszt i Pragę, na dziesięciu nawet znających Szwajcaryę, Francyę i Włochy — zaledwie jeden zajrzał do Warszawy. A przecież to największe miasto polskie, przecież to stolica, w której rozgrywały się dzieje ostatnich trzech stuleci — przecież ta Warszawa posiada tyle pamiątek narodowych, tyle drogich nam wspomnień, ma wreszcie tyle niezaprzeczonego uroku. Poznanie jej jest więc obowiązkiem każdego Polaka.

Kto jednak w Warszawie niema krewnych lub dobrych znajomych, ten przybywszy na bruk warszawski czuje się skrępowany. W braku praktycznych wskazówek może niepotrzebnie ponieść znaczne wydatki — a drukowany przewodnik niezawsze go objaśni, co przedewszystkiem zwiedzić potrzeba. Natomiast wycieczka towarzyska, kierowana przez ludzi dobrze znających przeszłość Warszawy, jej zabytki i życie teraźniejsze, daje sposobność tanim



Fot. J. Glassman, Zbaraż.

Sokolnia na kresach: Fragment z uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod sokolnię w Zbarażu, podczas kazania ks. gwardyana Szpili.

kosztem spełnić ów „obowiązek każdego Polaka“. Co więcej, zapewnia ona różne ulgi, ułatwienia, daje możność widzenia tego, czego bez pewnych stosunków widzieć nie można (zwłaszcza pałaców i zbiorów prywatnych).



Fot. J. Glassmann, Zbaraż.

Sokolnie na kresach: Wydział „Sokoła“ w Zbarażu z prezesem M. Majewskim w pośrodku.

„Straż Polska“ urządziła dotychczas dwie wycieczki do Warszawy: jedną we wrześniu r. z., drugą na początku czerwca r. b. Uczestnicy ich nie mogą naopowiadać się, jak niezatarte wrażenie uczyniła na nich Warszawa. Przyznają, że poprostu nie mieli wyobrażenia, iż tyle w niej znajdą rzeczy dla oczu i dla ducha. Wrócili zadowoleni, pokrzepieni, wzmocnieni.

Z początkiem lipca wyrusza trzecia wycieczka. Można się do niej zapisywać do dnia 22 czerwca w biurze „Straży Polskiej“ (Kraków, Floryańska 1).

W części illustracyjnej podajemy jedną z grup wycieczkowych. Środkowe, honorowe miejsce w tej grupie zajmuje prezes „Straży Polskiej“, Kazimierz Bartoszewicz, który był inicyatorem, a zarazem przewodnikiem obu wycieczek.

Jubileusz Akademii dublańskiej.

Bardzo uroczyście święcono w ubiegłym tygodniu jubileusz półwiekowego istnienia Akademii rolniczej w Dublanach pod Lwowem, tej jedynej przez długi szereg lat wyższej szkoły rolniczej w Polsce. Tam ogniskowały się zastępy młodzieży ziemiańskiej ze wszyskich stron Rzeczypospolitej i kształciły się pod okiem wybitnych profesorów. Po dziś dzień zatrzymały też Dublany to przodujące stanowisko wśród polskich szkół rolniczych, a grono nauczycielskie z niezmordowaną energią dąży zawsze do wytworzenia z tej Akademii zakładu naukowego, jak najlepiej zaspakajającego potrzeby naszego rodzimego rolnictwa.

Obchód rozpoczął się w sobotę rano. Uczestnicy wyruszyli ze Lwowa dorożkami do Dublan, gdzie powitał ich komitet oraz straż ochotnicza miejscowa i orkiestra. Wśród przybyłych znajdowało się bardzo wielu dawnych uczniów, z pomiędzy których kilku zajęło wybitne w kraju stanowiska, dalej grono gości, między tymi marszałek Stanisław hr. Badeni, prezes tow. gospodarskiego Kazimierz Laskowski i wielu innych.

Na uroczystem nabożeństwie odbyło się zebranie w jednej z sal Akademii. Zebranych powitał dyrektor Akademii dr. Pomorski-Mikułowski, po nim zaś przemawiali marszałek hr. Badeni, prezes Laskowski, imieniem tow. gospodarskiego, które swojem staraniem i swoimi funduszami szkołę dublańską założyło i utrzymywało, dalej byli uczniowie pp. Tyniecki, Jakubowski i Świeżawski, wreszcie imieniem młodzieży p. Wasung.



Wycieczki do Warszawy: Grono uczestników wycieczki, urządzonej przez „Straż Polską“, z prezesem Kazimierzem Bartoszewiczem (X) w pośrodku.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

25 (Ciąg dalszy)

— Ile czasu ma trwać każde spotkanie? — zapytał jenerał. Obaj przeciwnicy jednakowo dobrze władają bronią, musimy umówić się co do przerwy, by dać im możność odetchnąć.

— Czy trzy minuty dosyć? — zaproponował drugi świadek hrabiego.

— O, tak — odpowiedzieli jednocześnie książę i jenerał.

— Według warunków, piersi mają być obnażone — dodał magnat węgierski.

— Dobrze, chociaż nie bardzo jest ciepło — rzekł niechętnie książę, troszcząc się o zdrowie przyjaciela.

— A więc zaczynajmy — zadecydował jenerał.

Przeciwnicy szybko rozebrali się w bocznych pokoikach i wyszli prawie jednocześnie na dziedziniec, gdzie chłodny jasny dzień oświecił nagość ich torsów i bladość twarzy. Książę d'Eylau, kierownik walki, wziął szable, które doktór Saffroy wymył sublimatem i podał je walczącym; potem skrzyżował ostrza, cofnął się i dał znak:

— Panowie, proszę!

Hartenberg i Morailles jakby cofnęli się od siebie na jedno drgnienie i w tej samej chwili żwawi, gibcy skrzyżowali ostrza z błyskawiczną szybkością następujących po sobie sztychach i paradach, wydając ostry, metaliczny dźwięk, którego najobojętniejsi nie mogli słuchać bez wzruszenia. Przejmujący kontrast stanowili obaj ze wzrokiem utkwionym w siebie, szukając miejsca w piersi, podchwytując błędy, by w ścieraniu ostrzy, odbijaniu ich, uchwycić moment, w którym szpadę swą chyżą jak piorun, można było utkwić w piersi przeciwnika.

Hartenberg, wysoki, gruby świecił swą białomleczną piersią, pokrytą kępką włosów, z ściągniętemi brwiami, obrosłą twarzą, o czerwonym torsie, giętkiemi ruchami, podobny był do młodego niedźwiedzia w kniei.

Morailles chudy, suchy, o bursztynowej skórze, gibki, z muskułami drgającemi pod ciałem, wydawał się jak jaguar przyczajony do skoku.

— Stać! — zawował książę, patrząc ciągle na zegarek.

Trzy minuty upłynęło, końce szpad opadły ku ziemi, przeciwnicy pod maskami uprzejmej obojętności, patrzyli na siebie z nienawiścią.

Jeszcze dwa starcia nastąpiły bez najmniejszego skutku, denerwując tylko markiza i wywołując na twarzy hrabiego jakieś ciemno-fioletowe plamy pod oczami.

— Proszę! — zakomenderował książę po raz czwarty.

Poznał on w grze hrabiego zamiar zdenerwowania i zmęczenia markiza, by wykorzystać następnie upadek jego sił. Markiz jednak domyślił się taktyki swego przeciwnika i całą swą wolę skupił na jednej tylko: udać umyślnie przed Hartenbergiem pozorne osłabienie, a gdy on, sądząc, że chwila nadeszła, wymierzy swój cios, sparować go i użyć swego sztychu.

Hartenberg dał się zwieść; uważając iż odbił szpadę markiza, pchnął swoją silnie naprzód, ale trafił tylko na próżnię. Morailles odskoczył i w tem samem mgnieniu szybki jak błyskawica pogrążył swą szpadę w piersi przeciwnika. Hartenberg zachwiał się; na pomoc podbiegli mu świadkowie. Powieki opadły na oczy, na twarzy zamalowało się wyrażenie bólu i wściekłości.

Markiz, nieruchomy, podobny do posągu, z opuszczoną szpadą, zdawał się salutować swego przeciwnika.

— Żałuję bardzo — odezwał się po chwili.

Po tem zadośćuczynieniu konwenansom, obrócił się i poszedł do pokoju, by sie ubrać.

— Niema co mówić, mój mały — ja stary mogę tak cię nazwać — dobrześ się spisał: twój sztych lepszy od mego... — mówił jenerał, towarzysząc panu Morailles.

Ukazał się zaraz i książę, zaaferowany ale zarazem i zadowolony.

— Można ci powinszować... Przed chwilą obawiałem się, ale on sam wpadł w pułapkę, którą na ciebie zastawiał. Doskonały sztych! Dostało mu się też porządnie.

— Co mówią doktorzy? — zapytał markiz, zawiązując krawat.

— Przedziurawione ma płuco; wyrzucił z siebie całą miednicę krwi i to go może ocalić.

W chwili tej ukazał się Saffroy z miną zakłopotaną:

— Tutaj jest telefon, prawda?

— Jest!

— Muszę zatelefonować po pogotowie, rannego bowiem w tym stanie nie można przewieźć samochodem.

— Proszę, niech Picard doktorowi pomoże we wszystkiem. Czy są nosze, prześcieradła?...

Pan Morailles był już ubrany.

— Zdaje mi się, że nie mam już tutaj nic do roboty.

— Chyba, że nic — odparł jenerał. Na mnie czekają ze śniadaniem. Ten biedny Hartenberg przez długi czas nie będzie miał apetytu.

— Jedźcie moim samochodem — odezwał się książę — a potem odeszlecie mi go. Muszę pozostać tutaj, dopóki nie odwiozą Hartenberga, jest to obowiązkiem gościnności, ponieważ ja wynajmowałem tę salę. Saffroy pozostanie także, by pomagać drugiemu lekarzowi.

— Dobrze, wyraź tym panom moje ubolewanie.

Myśli jednak markiza były w sprzeczności z jego słowami. Czuł się najzupełniej zadowolonym.

— Chciałbym jeszcze powiedzieć jedno słowo Saffroy'owi.

— Zaraz ci go przyślę.

Pan Morailles odszedł na bok z doktorem i zapytał:

— Będzie żył.

— Mój kolega twierdzi, że tak, mnie się jednak zdaje, że już po nim!

— Ach, to przykre; ale, mój drogi doktorze, musimy porozmawiać jeszcze o naszym smutnym przedmiocie, zdrowiu markizy.

— Do pańskich usług.

— Czy jeszcze długo tu pan pozostanie.

— Nie, pogotowie przyjedzie w przeciągu dwudziestu minut.

— W takim razie o pierwszej oczekuję pana na śniadaniu w klubie *Aeroplan*, dobrze?

— Proszę bardzo — pospieszył odpowiedzieć Saffroy, wiedząc, że markiz dobrze przyjmuje swych gości.

— A więc zgoda, do widzenia.

— Do widzenia.

— Jedziesz razem, Desboulets?

— Chętnie.

— Ale na śniadaniu pozostaniesz z nami.

— Niestety. Czekają już na mnie. Już późno... Dawny kolega z Algieru.

— Ten, który chodzi w jedwabnej halce różowej i niebieskich pończochach.

— Co znowu — chciał zaprzeczyć jenerał, uśmiechając się dwuznacznie, gdyż istotnie tym dawnym kolegą była jego przyjaciółka, Alicya Fossette z teatrzyku bulwarowego.

— To cię przynajmniej podwiozę.

— Dobrze, do rogu ulicy Helder.

Wyszli, lecz tuż przy progu spotkali się z dwoma jakimiś panami. Jeden był bardzo elegancki, w monoklu, cylindrze, drugi niższy z aparatem fotograficznym na plecach. Byli zadyszani, oddychając ciężko.

— Ach, panowie! Pojedynek już się odbył! Przybywamy za późno!

— Zdaje mi się, lecz z kim mam przyjemność?...

— Reporter z *Matina* i mój kolega fotograf... Pan markiz Morailles? Poznaję pana i proszę mi wybaczyć... Raczy mi markiz dać mały interwiew i pozwoli, że fotograf...

Dał znak fotografowi, który szybko począł ustawiać aparat.

— Przykro mi niezmiernie, lecz nie poddaję się interwiewom. Proszę także uprzedzić redaktora, by był łaskaw nie zajmować swych czytelników mojemi sprawami.

— Ależ, panie markizie... Obowiązek dziennikarski... — mówił reporter i ręką poza plecami dawał znak fotografowi.

Jenerał Desboulets stanął jednak tak blisko aparatu, iż na matówce widniało tylko jego palto.

— Nie zaprzeczam praw dziennikom — odrzekł ostrym głosem markiz — nie pozwolę jednak, by się zajmowano mojem życiem prywatnem. Proszę powiedzieć także tym, którzy się tem interesują, iż mogą żałować swej ciekawości.

Markiz i jenerał wsiedli szybko do samochodu, który z miejsca pomknął tak prędko, iż fotograf, biegnąc za nimi, zdołał tylko uwiecznić na kliszy jedno koło automobilu. Pan Morailles powrócił do pałacu i przebierał się, gdy rozległ się dzwonek przy telefonie.

— Kto mówi? To ty Maud?

— Tak, ja, Henryku. Uspokój mnie... Nie jesteś ranny?

— Ja? Nie.

— Co za szczęście! Nic, nawet zadraśnięcia?

— Nie.

— A Hartenberg?

— Bardzo cię to interesuje?

— Tylko z powodu ciebie, tak... chyba rozumiesz...

— Trochę więcej, niż raniony, trochę mniej, niż zabity.

— Przyjdź do mnie prędko... O piątej, dobrze?

— Czy nie sprawia ci to przykrości?

— Co takiego?

— Hartenberg...

— Cóż może mnie to obchodzić? A więc o piątej oczekuję cię.

Markiz nie odpowiedział natychmiast, namyślając się nad rozkładem swego czasu, lecz gdy ponownie zaczął mówić:

— Posłuchaj, Maud...

— To pan, Morailles? — zapytał jakiś głos męski, w przerwie bowiem połączono go z kim innym.

— Tak, to ja, a pan?

— To ja...

— Co za ja?

— Ja, Maurycy Le Chars. Wreszcie! Od dwudziestu czterech godzin nie można się z panem połączyć.

— Ach, to pan. Dzień dobry.

— Niech pan nas uspokoi. *Matin* poranny... pojedynek?...

— Zdrów i cały, raniłem Hartenberga.

— Ciężko?

— Dość...

— Niech pan powraca do Roche-Forte. Koniecznie.

— Koniecznie? Co się stało?

— Pani Morailles doznała dwóch wstrząśnień. Dzieci omal się nie utopiły. Wyratowane, niema najmniejszego niebezpieczeństwa.

— I?

— Ma halucynacye spowodowane ukąszeniem żmii.

— Żmii? W parku?

— Nie, w pokoju...

— Pan chyba żartuje?

— Nie mam najmniejszej chęci...

— Więc żona?

— Znajduje się w strasznym stanie... Nie poznaje nas... delirium.

— Ukąszenie niebezpieczne.

— Nie, nie sądzę.

— Czy był doktór Morane?

— Tak, zaproponował konsylium ze swym siostrzeńcem, który zna się dobrze na chorobach nerwowych. Co pan na to mówi?

— Nic, nie znam dosyć jego siostrzeńca. Przywiozę zę sobą doktora z Paryża, przyjadę wieczorem między ósmą a dziewiątą.

— Tak późno?

— Niemożebne wcześniej. Tysiące spraw do załatwienia. Ale panie....

— Co takiego?

— Akcye Salentin ciągle idą w górę...

— Jeszcze nie czas je sprzedawać?

— Korzyść nie byłaby dość duża, lepiej poczekać.

— Dziękuję za radę, ale stan markizy niepokoi mnie bardzo...

Połączenie telefoniczne znowu przerwano. Markiz pospiesznie wyszedł, radując się z otrzymanej wiadomości. Żona swoją egzaltacyą pomaga mu tylko w wykonaniu zamierzonego planu. W kwadrans potem markiz razem z doktorem Saffroy znajdowali się w gabinecie restauracyi klubu *Aeroplan*. Obydwaj byli w doskonałych humorach, podniesieni nadzieją doprowadzenia do skutku swych zamiarów. Saffroy zastanawiał się tylko, jaką sumę podać markizowi za pobyt jego żony w instytucie, by była nie za małą, a zarazem, by przypadkiem zbyt wielką nie zniechęcić go. Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć tysięcy franków na rok?

— Dzisiejsze popołudnie ma doktór wolne?

— Nie, lecz pan markiz zawsze może mną rozporządzać.

— Bardzo dziękuję. Chciałem właśnie dzisiaj zwiedzić ten instytut... ten dom zdrowia w Autenil.

Twarz Saffroy'a ożywiła się.

— Nic łatwiejszego. Zatelefonować do Cruxa...

— O, nie, wolę go zastać niespodziewanie, przekonać się samemu....

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze!

— A więc jedźmy!

W kilka minut potem wyszli z klubu i wsiedli do samochodu.

XIX.

Podczas jazdy, doktór namyślał się, czy opowiedzieć markizowi o spotkaniu z Maud Kiss. Na kilka minut przed przewiezieniem hrabiego Hartenberga z Lasku, w pawilonie zjawiła się Maud. Początkowo Saffroy sądził że przybyła dowiedzieć się o zdrowie pana Morailles, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy przyjęła wiadomość o odjeździe markiza z najzupełniejszą obojętnością. Od świadków Hartenberga zażądała, by zaprowadzono ją do rannego. Pozostała przy nim kilka minut. Gdy Saffroy wszedł niespodzianie do jego pokoju, ujrzał, iż trzymają się za ręce, które na jego widok rozłączyli natychmiast. Potem przybyła po nią jakaś wysoka dama, z wyglądu cudzoziemka i razem odjechały.

Gdyby poddał się tylko swej wrodzonej złośliwości, opowiedziałby całe to spotkanie panu Morailles, by sprawić mu przykrość, w porę jednak powstrzymał się; z wiadomości tej markiz mógłby nie być zupełnie zadowolonym. Tymczasem zajechano przed wysokie, murowane ogrodzenie, na bramie którego widniał u góry wielki napis: „Instytut Neurologiczny“. W głębi za gazonem znajdował się zgrabny pałacyk.

— To jest prywatne mieszkanie Cruxa, zakład mieści się w tyle — wyjaśnił Saffroy. — Niech markiz popatrzy na ten mur, najlepiej on zabezpiecza nas przed ucieczką pacyentów.

Na głos dzwonka od bramy, zbliżył się wysoki, rudy, wygalonowany portyer z dwoma wielkimi buldogami o białych, świecących się na wierzchu pyska zębach.

— Doktór Crux jest? — zapytał Saffroy.

Portyer potwierdzająco skinął głową. Nie zbyt rozmowny i zachęcający dla tego, ktoby go chciał przekupić, pomyślał pan Morailles. A przytem sam podołałby i czterem ludziom, tak jest wspaniale zbudowany. Saffroy odgadł myśli markiza.

— Portyer ten jest niemy. Crux z pomocą moją wyleczył go z raka na języku, odcinając mu go połowę. Dałby się teraz za nas zabić z wdzięczności za wyratowanie od niechybnej śmierci.

W przedsionku przyjął ich służący negr, w pomarańczowych spodniach, białych jedwabnych pończochach i niebieskim fraku.

— Doktór Crux jest w swym gabinecie?

— Nie, pan doktór gra w bilard z kapitanem. Zaraz uprzedzę.

— Nie, nie potrzeba; wejdźmy odrazu, prawda markizie?

I zniżając głos, dodał:

— Kapitan Huchssetts jest bardzo miłym, inteligentnym człowiekiem, tylko na okręcie zabił dziesięciu majtków. Furyat...

Przy słowach tych Saffroy wprowadził markiza do sali, gdzie Crux pochylony nad bilardem, robił karambola. Na odgłos otwieranych drzwi, odwrócił się:

— Ach, co za niespodzianka! Znajduje mnie pan przy rozrywce hygienicznej... Pozwoli pan, że przedstawię: kapitan Huchssetts.

Wysoki, szczupły, o żółtych faworytach jegomość, ubrany w doskonale skrojony żakiet, ukłonił się z wielką powagą. Miał zielonkawe oczy i nadmiernie duże szczęki. W całej jego postaci widniała jakaś dobroć i uprzejmość. Odezwał się:

— Panowie wybaczą... — i wyszedł. Saffroy natychmiast poszedł za nim.

— Widział pan, jak się obchodzą ze swymi chorymi, miękko i łagodnie, ale w potrzebie i stanowczo. Kapitan...

— Tak, Saffroy już mi mówił....

— Dzięki mej metodzie za kilka tygodni odzyska zupełnie władze umysłowe. Jest to człowiek niezwykłej inteligencyi.... gra, maluje, rzeźbi. Jest już spokojny jak baranek...

Dalszy ciąg opowiadania przerwał Saffroy, który już wrócił.

— Dobrze byłoby, aby kapitan nie miał u siebie brzytwy. Najsłodszym głosem zwierzył mi się, że miał wielką chęć podczas gry poderżnąć panu gardło.

— Co, mnie? — zawołał Crux. blednąc nagle — mnie, który jestem dla niego jak ojciec. Dlaczego on mi chciał to zrobić? ten nędznik!

— Mówił, że fasola podana na śniadanie, byli to mali przebrani Macedończycy, którzy mieli go wbić na pal, na rozkaz księżniczki tureckiej Dżidżen, kochanki pańskiej od czasów śmierci Mahometa, zmarłego na konwulsye.

— Co za szalone myśli.... Co za dziwna kombinacya pojęć! Ale brzytwa. Saffroy? — zapytał Crux. blednąc jeszcze więcej.

— Oto ona, oddał mi ją z wielkim wahaniem.

— O, musimy go wziąć teraz dobrze na oko, krótko potrzymać. — Zwrócił się do pana Morailles, ubawionego przestrachem doktora.

— Takie wypadki zdarzają się. Życie nasze ciągle w niebezpieczeństwie. Na szczęście nie wszyscy są tacy niebezpieczni. Ale proszę do mego gabinetu. Spodziewam się, że nie zdrowie markizy sprowadza pana do mnie.

— Niestety tak — odparł markiz i siadając w wygodnym fotelu, zaczął opowiadać niebezpieczne symptomaty choroby swej żony. Po skończeniu westchnął żałośnie.



— Czy pan markiz pragnie czego? — zapytała przestraszona.

— Choroby umysłowe są nadzwyczaj skomplikowane — zaczął Crux. — Jest bardzo możliwe, że pani Morailles przy swej żywej wyobraźni, od dłuższego już czasu nosi w sobie zarodki poważnych niedomagań nerwowych. Wskazywały na to wszystkie poprzednie objawy, dzisiaj moja dyagnoza staje się zupełnie jasną. Można też obawiać się, że stan chorobliwy jeszcze się pogorszy.

— I pan tak sądzi? — rzekł pan Morailles ze smutkiem w głosie. Saffroy to samo mi mówił.

— Och, nie zaraz może, lecz po pewnym czasie; trzeba będzie rzeczywiście uciec się do radykalnych środków...

— Właśnie sądziłem, że w pańskim zakładzie...

Crux położył rękę na sercu.

— Bardzo czuję się wzruszonym pańskiem zaufaniem, drogi panie markizie. Istotnie, któż może lepiej zająć się leczeniem pani Morailles, jak nie doktór, który od tylu lat ma ją w swej opiece. Za obowiązek jednak poczytuję sobie powiadomić pana, że mój instytut nie jest jedyny, że się znajdują...

— Panie doktorze, pan jest dobrze przeświadczony, że ja nie powierzyłbym markizy w ręce niepewne, nieznane i gdyby istotnie zaszła konieczność umieszczenia żony w domu zdrowia, musiałbym mieć pewność zachowania najzupełniejszej tajemnicy.

— Rozumiem, rozumiem bardzo dobrze delikatność pańskich uczuć. Pan markiz pragnie, by nieszczęśliwy stan pani Morailles był nieznanym, by nikt nie podejrzywał jej obecności tutaj. W pańskim świecie będą sądzili, że wyjechała gdzieś za granicę na leczenie. U nas nie będzie podlegała żadnym dawnym wpływom, które na nią tak zgubnie działają. Prawda, pan tego chce?

— Istotnie, tak — odpowiedział markiz — takie są moje chęci.

Crux jak poprzednio Saffroy, nie pomylił się co do istotnych zamiarów markiza, przypuszczali tylko, że stan pani Morailles był groźniejszy, niż w rzeczywistości się okazał. Sądzili, że mąż chce skorzystać z choroby żony, by wolny zupełnie, tem swobodniej używać życia.

— Zapewne pan pragnie obejrzeć nasz instytut. Pokażę panu kilku ciekawych pacyentów. Naprzykład ten w alei, widać przez okno, jak jedzie w wózku ciągnionym przez osła. Jak on wolno posuwa się. Zdaje mu się, iż jest kryształową karafką, napełnioną cudowną wodą, której boi się uronić. Mamy taże pewnego Rosyanina, który twierdzi, iż jest pozbawiony woli. Nic sam nie robi, kroku nawet nie postąpi: trzeba go ubrać, umyć, nakarmić. Co jednak dziwne, że jest przytem niezwykle wykształcony włada biegle sześcioma językami. Ale chodźmy już oglądnąć zakład!

Znaleźli się w obszernym parku z rozrzuconymi w różnych miejscach pawilonami. W głębi znajdował się wielki biały dom z szerokiemi oknami bez rolet.

— Instytut — rzekł z dumą dla swego dzieła Crux. W gmachu tym mieszczą się chorzy, którym dozwolone jest życie towarzyskie, a nawet zalecone.

Obejrzeli salony, czytelnię, bibliotekę, fajczarnię, potem poszczególne apartamenty chorych, urządzone z elegancyą, na co Crux przy każdej sposobności zwracał uwagę swego gościa.

— Mamy także pawilony oddzielne dla uprzywilejowanych pacyentów, urządzone z niezwykłym komfortem.

— Wspomniał mi pan — rzekł obojętnym tonem markiz — że ideą fixe zamkniętych jest ucieczka; czy ona jest trudna?

Crux roześmiał się.

— Niemożebna. O dziesiątej godzinie wszystkie drzwi zamknięte, a klucze u mnie się znajdują. Odbywają się ciągłe patrole. Czterech stróżów razem z buldogami zmienia się nieustannie. Nie można nawet próbować ucieczki.

Saffroy dodał:

— W zeszłym roku jeden chory odważył się na to, ale przychwycił go buldog za nogę tak, iż ta noga potem nie wiele już była warta.

Markiz wzdrygnął się, ale to uczucie ludzkości niedługo w nim potrwało. Tak, to dobre będzie schronienie dla żony. Zwrócił się do Saffroya.

— Mówił pan, że jest pan wolny?

— Służę sobą.

— Przed śniadaniem otrzymałem, nie wspominałem o tem, by nie psuć panu humoru, smutne wieści z Roche Forte. Czy może być pan u mnie o pół do piątej. Pojedziemy razem, by mógł się pan przekonać sam o stanie żony.

— Będę z pewnością, proszę liczyć na mnie.

Pan Morailles pożegnał się. Teraz, uspokojony co do możliwości uwięzienia markizy między waryatami bez niebezpieczeństwa ucieczki, może zająć się niewierną Maud. Przybył na ulicę Spontini. Tutaj oczekiwało go wielkie, niespodziane zdziwienie. Wszystkie żaluzye w małym pałacyku były pozapuszczane, wszystkie drzwi pozamykane.

Pchnął drzwiczki małego ogródka otaczającego mieszkanie swej kochanki i znalazł się przed kobietą w starszym wieku, którą Maud najmowała do cięższych posług. Wejrzenie miała uczciwe i z rozczarowaniem spoglądała na pana Morailles. „Nigdy jeszcze nie zwrócił się do niej ani jednem słowem, nigdy jeszcze na nią nie popatrzył. Ona go jednak znała; czyż nie był on po pannie Maud Kiss, jej panem?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Święto sokole.

Radowała się znowu minionej niedzieli Macierz sokola, bo oto znowu jedno gniazdo, jej ręką sklecone, poświęciło swój znak sokoli. Lwów sam posiada pięć znaków sokolich, a w kraju całym nie zliczysz ich nawet, a pod tymi znakami hufce coraz większe, a w nich nadzieja lepszej naszej przyszłości.

I nietylko znak Sokolstwa poświęcał w niedzielę „Sokół II.“, lecz także własną sokolnię dużą, okazałą. Przedmieście grodeckie, zdala od Macierzy leżące, dużej potrzebuje sali, bo dużo tu ludności, przeważnie pracowników kolejowych, a wśród nich coraz więcej druhów-Sokołów.

Poświęcenia sztandaru, a następnie gmachu sokolego dokonał przezacny biskup ks. Bandurski i on też niezwykle gorąco i serdecznie do zebranych na boisku w liczbie paru tysięcy uczestników przemówił. W uroczystości prócz Związku sokolego, wszystkich czterech gniazd lwowskich i gniazd z lwowskiego okręgu, wziął udział marszałek kraju Stanisław hr. Badeni, wiceprezydent miasta p. Karol Epler z gronem radnych, delegaci stowarzyszeń i cechów z sztandarami itd.

Tak więc już wszystkie lwowskie gniazda posiadają sztandary, a dwa tylko gniazda: „Sokół III.“ i „Sokół IV.“ tułają się jeszcze dotąd pod obcym dachem, lecz oba krzątają się i zbierają cegiełki na własny budynek.



Uczczenie kapłana patryoty: Ks. kanonik Teofil Gdowski w otoczeniu członków czytelni polskiej w Wełdzirzu.



Jubileusz Akademii dublańskiej: Dyrektor dr. Mikułowski-Pomorski.

Uczczenie kapłana patryoty.

We wschodniej Galicyi, w powiecie doliniańskim, leży głęboko w górach wioska Wełdzirz. Mieszka tam ludność pochodzenia przeważnie polskiego, która jednak z biegiem czasu, skutkiem braku kościołów i szkół polskich w okolicy, wynarodowiła się prawie zupełnie.

Dopiero przed kilkudziesięciu laty wystawiono tam kościół i ufundowano probostwo. Ciężka była praca duszpasterza i lata mijały a zaledwie tu i ówdzie zdołano wykrzesać iskrę miłości Boga i Ojczyzny.

Aż kiedy przed 16 laty, przybył na probostwo w Wełdzirzu ks. Teofil Gdowski, stosunki zmieniły się na lepsze.

Patrząc na owoce pracy jego, nie tylko musi się go kochać, ale czcić i uwielbiać. Za jego to usilnem staraniem powstało w okolicy kilka kościołów, szereg czytelń ludowych i innych posterunków pracy oświatowej i narodowej. Wszędzie też ludność miejscowa otacza go wielką miłością.

Najwięcej jednak w Wełdzirzu. Tam założył „Czytelnię Polską“, ofiarowując jej własny dom ze sceną na przedstawienia. „Czytelnia“ rozwinęła się bardzo pięknie. Cała ludność garnie się do niej, bo znajduje tam nietylko zdrową naukę ale i rozrywkę.



Fot. M. Münz, Lwów.

Święto sokole: Odjazd ks. biskupa Bandurskiego z gmachu Sokoła II. po dokonaniu poświęcenia.

Niedawno odbyła się w Wełdzirzu wielka uroczystość, a to z powodu zamianowania ukochanego proboszcza kanonikiem. Cała ludność polska złożyła



Dom polski w Wiedniu: Ks. kanonik J. Łukaszkiewicz.

hołd zacnemu kapłanowi-patryocie, okazując w ten sposób wielkie przywiązanie i miłość.

Zdjęcie fotograficzne, przedstawiające grupę członków „Czytelni" z ks. kanonikiem Gdowskim w pośrodku, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Przesilenie na Węgrzech.

Położenie polityczne na Węgrzech nietylko się nie wyjaśnia, ale raczej komplikuje z dnia na dzień. Prezydent ministrów Wekerle, któremu szczęście sprzyjało dotąd w bardzo trudnych nieraz okolicznościach, tym razem nie może im podołać, tak że zasadniczo dni jego gabinetu — przynajmniej w obecnym składzie — uważać trzeba za policzone.

Przedewszystkiem dwie sprawy, niecierpiące zwłoki, oczekują załatwienia, a mianowicie sprawa utworzenia samoistnego państwowego banku węgierskiego, oraz sprawa reformy wyborczej. I w jednej i w drugiej sprawie korona zajęła jasno określone stanowisko i nic nie wskazuje, aby zamierzała zmienić swe zapatrywanie, lub nie korzystać ze swych prerogatyw.

ponieważ koalicya nie dotrzymuje zawartego z koroną paktu, co do reformy wyborczej. Wobec tego radził Kossuth odłożyć na razie na bok kwestyę samodzielnego banku. Z tej racyi jednak przyszło do ostrego konfliktu między nim, a prezydentem izby Justhem, który jest przywódcą lewego skrzydła partyi niezawisłości. Justh, korzystając ze swego prawa, może każdej chwili sejm zwołać, co je-



Przesilenie na Węgrzech: Minister spraw wewnętrznych hr. Juliusz Andrassy (X)

Celem rozwikłania sytuacyi, ministrowie węgierscy odbywają częste podróże do Wiednia, a ryciny nasze przedstawiają dwóch z nich, t. j. ministra spraw wewnętrznych, hr. Juliusza Andrassy'ego i ministra handlu, Francisza Kossutha, w czasie ich ostatniego pobytu tamże.

Ale i ta ostatnia podróż nie przyniosła wyjaśnienia pogmatwanej sytuacyi. Kossuth, zdając z niej sprawę w klubie partyi niezawisłości, przyznać musiał, że otrzymał od króla poważne napomnienie, dnak teraz mogłoby być przez koronę uważanem za *casus belli* i spowodować rozwiązanie sejmu.

Tak więc przesilenie trwa w dalszym ciągu i niewiadomo jak się zakończy.

Dom polski w Wiedniu.

W stolicy Austryi, w Wiedniu, mieszka obecnie około 30 tysięcy Polaków, rozrzuconych po



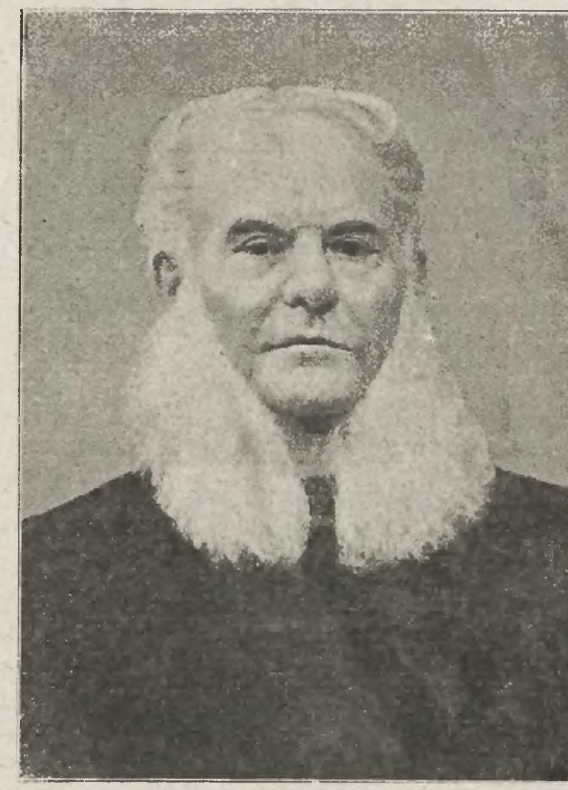
Jubileusz Akademii dublańskiej: Grono uczestników obchodu przed gmachem Akademii. (X) Marszałek St. hr. Badeni; 1. prezes K. Laskowski; 2 dyrektor Lange; 3. dyrektor dr. Mikułowski-Pomorski.

wszystkich dzielnicach pomnego miasta, tak iż gubią się formalnie w morzu ludności niemieckiej i czeskiej. Nic dziwnego też, że zwłaszcza młode pokolenie niemczeje i zapomina języka ojczystego. Smutny ten stan rzeczy spowodował także brak szkół polskich i domu narodowego. Przed kilkunastu laty założono wprawdzie jedną polską szkołę ludową, wobec potrzeb jednak kolonii wiedeńskiej była to kropla w morzu.

Dopiero niedawno, bo przed trzema laty, podniósł ks. kanonik Łukaszkiewicz szlachetną myśl, by zaopiekować się dziatwą polską, mieszkającą po przedmieściach. Dzięki zapałowi i energii, z jaką wziął się do wykonania swych planów, powstało wnet towarzystwo szkoły ludowej w Wiedniu, które dotąd założyło już 3 szkoły polskie i szkołę analfabetów przy jednym z wiedeńskich pułków kawaleryi, a nadto utrzymuje trzy czytelnie dla dorosłych i wypożyczalnie książek.



Przesilenie na Węgrzeeh: Minister handlu Franciszek Kossuth. (X)



Z ubogiego subjekta milionerem: Zmarły w Paryżu M. Chauchard.

Jak już z tego widać, zasługi tow. szkoły ludowej w Wiedniu są bardzo znaczne i należy mu się pomoc wydatna od całego społeczeństwa. Pomoc ta jest obecnie tem konieczniejsza, że celem opędze-



Śmierć polskiego dostojnika Kościoła: Katafalk ze zwłokami ś. p. arcybiskupa Wnukowskiego w kaplicy kościoła metropolitarnego w Petersburgu.

nia wydatków na utrzymanie trzech szkół oraz czytelń i na podtrzymanie życia towarzyskiego wśród Polaków wiedeńskich, nabyło towarzystwo z inicyatywy ks. Łukaszkiewicza dużą, cztero-piętrową



Zjazd łowiecki: Prezes tow. łowieckiego Stanisław hr. Stadnicki.

kamienicę z obszerną oficyną. Dochody z czynszów idą na utrzymanie szkół, nadto w domu tym mieści się piękna sala na zebrania towarzyskie. Ponieważ jednak tylko część ceny kupna mogło towarzystwo w gotówce zapłacić, reszta długu w wysokości 125.000 Kor. ciąży na domu polskim.

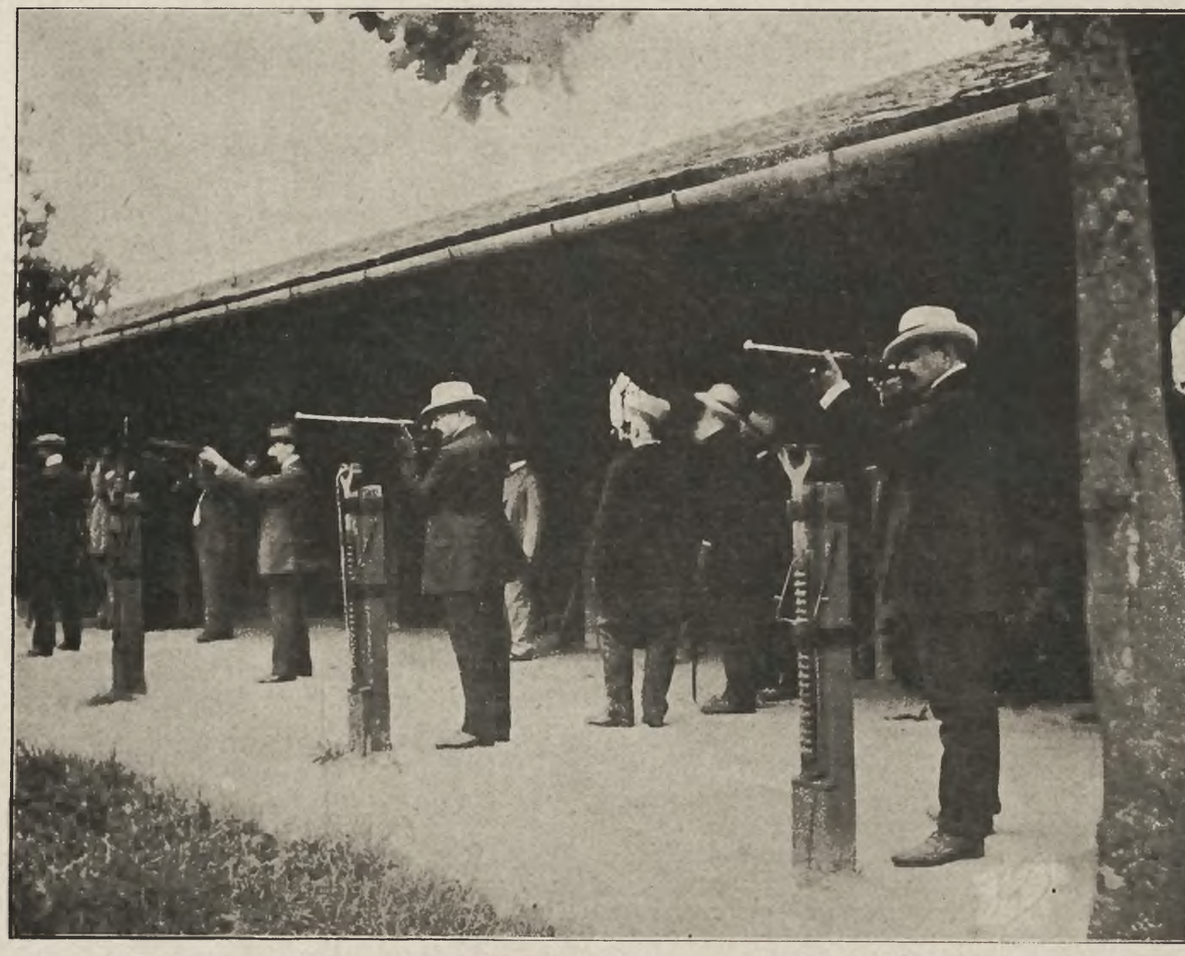
Zjazd łowiecki we Lwowie.

W minionym tygodniu odbył się we Lwowie doroczny zjazd łowiecki połączony z obradami galicyjskiego towarzystwa łowieckiego. Ze sprawozdania wydziału towarzystwa wynika, iż rozwija się ono stale i coraz lepsze osiąga wyniki swej działalności. Zasługa to w znacznej mierze prezesa towarzystwa, Stanisława hr. Stadnickiego.

Tradycyjnym zwyczajem odbyło się na zakończenie zjazdu popisowe strzelanie do celu, które na wojskowej strzelnicy „na Kortumówce“ zgromadziło w tym roku niezwykle liczną drużynę strzelców.

Obowiązki sędziów sprawowało grono wysokich oficerów z komenderującym korpusu Schödlerem na czele, dalej prezes tow. hr. Stadnicki, Juliusz hr. Tarnowski, Stefan hr. Szembek, Juliusz hr. Bielski i inni.

Strzelano z pistoletów i strzelb do tarcz stałych i ruchomych, z rozmaitej odległości.



Zjazd łowiecki we Lwowie: Scena z popisowego strzelania na „Kortomówce“.



Śmierć polskiego dostojnika Kościoła: Kondukt w czasie przewiezienia zwłok śp. arcybiskupa Wnukowskiego na dworzec warszawski w Petersburgu.

G. DE TE'RAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

2 (Ciąg dalszy).

W pięć minut potem wszedł tam za nim i drugi jegomość.

— Doskonale mruczał do siebie Lapipe, który z rogu ulicy des Dames śledził to wszystko.... Byłem pewny tego.... Malutkie złodziejstwo z narkotykiem lub chloroformem przygotowuje się na tę noc!... Wspaniale udaje mi się, za jednym zamachem dokonam cudownego podwójnego ciosu, który zakończy wspaniale mą karyerę.

Czekał jeszcze przez kwadrans, a ponieważ nikt nie wychodził z hotelu, skierował się sam do niego. Gdy w kancelaryi wymienił swój tytuł inspektora policyi, właściciel schylił się przed nim uniżenie i zapytał, czem może mu służyć.

— Dwóch ludzi jeden za drugim przyszło tutaj do hotelu?

— Tak, panie inspektorze.

— Dobrze. Gdzie pan pomieścił pierwszego?

— Pod numerem dziesiątym, panie inspekto....

— A drugiego?

— Pod jedynastym, panie inspek....

— Obok?

— Wprost, panie insp....

— Dobrze. Czy zapisali swe nazwiska w książkę?

— Proszę pana inspektora, ja zawsze jestem w porządku z...

— Nie przyszedłem sprawdzać meldunków. Proszę mi pokazać książkę.

— Pochylił się nad księgą, którą podał mu bojaźliwie gospodarz i przeczytał:

Józef Durand, rentier z Bordeaux.

A pod tem:

Juliusz Dupont, bez zawodu z Nantes.

— Ah!.... Durand?... Dupont?... Znam rodziny tego nazwiska... Powinienem przypuszczać — dodał z uśmiechem, że te zuchy nie są tak naiwni, by zapisali się prawdziwie!....

Zwrócił się do gospodarza i zapytał:

— I cóż panu powiedzieli pańscy goście?

— Pierwszy z tych panów położył się spać i zażądał tylko, by mu na godzinę siódmą przyniesiono dwa jajka i kotlet.

— Dobrze. A drugi?

— Nic.

— Naturalnie, zupełnie.

— Jakto naturalnie?

Lapipe zmarszczył brwi.

— Czy pan chce koniecznie wiedzieć wszystko, panie gospodarzu?

Hotelarz schylił się z szacunkiem.

— Przepraszam najmocniej pana inspektora, lecz ośmieliłem się tylko...

— Do wyjścia — przerwał ajent, jakby nie słyszał jego tłómaczeń i wskazał na główne drzwi — czy tylko te drzwi służą?

— Tak, panie inspektorze.

— Doskonale. Czy pan ma służącego?

— Tak, panie inspektorze.

— Gdzie on jest?

— Poszedł na wesele swej siostry i wróci dopiero jutro w południe. Na razie ja sam...

— Tem lepiej... Ach! Jeszcze słowo... Czy jest tu telefon?

— Niestety, panie inspektorze, jest.

— Dlaczego niestety?

— Nigdy go nie używamy. Nasz hotel jest tak niewielki, iż te czterysta franków rocznie idą na marne. Mój poprzednik założył go tutaj, lecz ja...

Zatrzymał się jak zahypnotyzowany.

Lapipe, słuchając go, oderwał od twarzy swe siwe wąsy, potem wyciągnął z kieszeni blond perukę z faworytami tego koloru i ubrał się w nią, a jednocześnie różem zafarbował sobie nos, poczernił brwi tak, iż stał się zupełnie innym.

Zrzucając z siebie jednym ruchem marynarkę — rzekł wesoło:

— A teraz niech mi pan da biały fartuch.

Zamienił się w posługacza hotelowego.

— Obecnie już pan gospodarz, jeżeli chce, może pójść na lampkę wina z przyjaciółmi, niech pan się nie żenuje... A jeżeli niema pan na to chęci, to proszę odpocząć u siebie, a ja, gdy będzie potrzeba, to dam panu znać... Przedtem niech pan nie schodzi na dół!...

Podobne życzenie było rozkazem. Gospodarz hotelu „Portugalskiego Księcia" poddał się woli ajenta.

— Dobrze, panie inspektorze — odrzekł, kłaniając się z uszanowaniem.

Po chwili wyszedł, udając się do siebie.

— Przynajmniej — myślał — hotel mój będzie dobrze strzeżony... byle tylko wszystkie te historye z policyą nie zaszkodziły mi w dzielnicy!...

Lapipe zaś, gdy został sam, siadł na krześle i zacierając według swego zwyczaju ręce, mruknął do siebie radośnie:

— Oto obydwaj w pułapce... już ich trzymam... mogę być spokojny: pod tą podwójną opieką mój jegomość z milionami nie umknie!... Wszystko będzie jak przewidziałem... Aż do siódmej godziny nie mam nic innego do roboty, jak tylko uzbroić się w cierpliwość... Mniejsza z tem, gdy zaniosę jaja i kotlet z przyjemnością porozmawiam z moim niezwykłym włamywaczem...

Rozmawiał jeszcze z sobą, gdy jakiś jegomość, ubrany w kratkowany angielski kostyum, przypatrywał się przez chwilę hotelowi, wahając się, czy do niego wejść, wreszcie zdecydował się i zwrócił się do Lapipa:

— *You don't speak english?*

Lapipe spojrzał na niego zdziwiony i odparł niechętnie:

— Nie rozumiem.

Przybysz zdawał się być tem zmartwiony.

— *Aoh!... how bothering!... I can't speak french!...*

Wyjął z kieszeni mały słownik angielsko-francuski i nie bez pewnej trudności zawiązała się między nimi następująca rozmowa:

— Pokój?

— Dobrze.

— *Not dear?*... Nie drogo?...

— Nie.

— Ja pojechać nazajutrz... *aoh,* jutro, prosto kolej Saint-Lazare... do London.

— Dobrze.

— Bagaże moa... na Orleans... Pan może poszukać, on?

— Dobrze, panie...

Lapipe myślał:

— Jutro umówi się z gospodarzem. Nudzi mnie ta angielska małpa. Trzeba się go pozbyć. Nie wiedzie mi się. Przybywa prawdziwy gość, istotny cudzoziemiec i na mnie musiał trafić.

Zdecydowany jednak wytrwać w tej roli do końca, podszedł do tablicy, na której wisiały na mosiężnych gwoździkach klucze, zdjął pierwszy i popatrzył na numer.

— Pan pozwoli za mną. Dam panu numer 14...

Gdy przybysz, nic nie rozumiejąc, nie ruszał się, słowa swe poparł żywa mimiką:

— Proszę za mną!

— Aoh, very well!...

Przed wyjściem jednak z kancelaryi zatrzymał się i powtórzył:

— Bagaże moa?

— Przecież powiedziałem, że jutro je sprowadzą, jutro! ...Dosyć już gadania, spieszmy się!... Mam co innego do roboty. niż na pana czas tracić, saperlipopette!...

. . . .

Zamknięty w swym pokoju Anglik zaczął śmiać się wesoło:

— Biedaczysko ten agent... dał się wywieść w pole!... Nie poznał swego kolegi... nic a nic nie ma węchu... biedny on!

Podróżny ten, który ani słowa zdawał się nie umieć po francusku, był właśnie sławnym detektywem amerykańskim, Newtonem. Wysłany przez szefa policyi z Nowego Yorku w poszukiwaniu za zabójcą starej miliarderki, Aesthon, której syn wyznaczył wielką nagrodę za odkrycie sprawcy morderstwa, przybył do Paryża. Sprawa ta z obawy, by morderca, który skradł całą biżuteryę ofiary, nie ukrył się z lęku w jakiem zaciszu i nie udaremnił poszukiwań, nie była wcale rozgłaszana. Wysłano tylko depesze do konsulów amerykańskich we wszystkich portowych miastach, by komunikowali Newtonowi do Paryża podejrzanych podróżnych okrętowych.

Dziwnemi drogami a zapewne przy pomocy przekupstwa dostał się raport komisarza w Marsylii o zajściu na *Starym Czarnym Psie* do rąk amerykańskiego konsula w tem mieście.

W pięć minut potem telefonował on do Newtona:

— Jaki procent dla mnie, jeżeli wskażę ślady mordercy z Nowego Yorku?

— Dziesięć procent.

— Well!

Konsul był widocznie praktycznym człowiekiem, ale za to Newton nie wątpił ani chwili, że pasażer z „Starego Czarnego Psa" jest poszukiwaną przez niego osobą.

W ten sposób nie dostrzeżony ani przez Forstera ani przez Lapipa, detektyw amerykański śledził ich obu i teraz wynajął pokój w hotelu, który posłużył za schronienie i dla jego przyszłych ofiar.

III.

Pokój Nr. 10.

Gdy zegar stojący na kominku w kancelaryi hotelowej wybił siódmą godzinę, Lapipe zerwał się gwałtownie, jakby podrzucony sprężyną. Przed chwilą myślał o zatelefonowaniu do dyrekcyi policyi, iż sprawca zamachu na bank w Chicago śpi spokojnie pod numerem 10 w hotelu Księcia Portugalskiego i może być każdej chwili wydany w ręce agentów. Bedzie to niezwykłe aresztowanie, które nie tylko przyniesie zaszczyt policyi francuskiej, ale i dla niego oprócz znacznej nagrody zdobędzie uznanie prasy i prefekta za przezorność, zręczność i przedsiębiorczość. Plan jego był bardzo prosty. Od gospodarza dowiedział się, że pokój Nr. 10, zajęty przez mniemanego Duranda, położony jest właśnie nad kancelaryą i że nawet najlżejszego kroku nie można w nim zrobić, by trzask podłogi nie rozległ się na dole.

Przy pierwszym podejrzanym szmerze w nocy, zdradzającym, że szczur hotelowy wybrał się na łowy. wyjdzie na korytarz i stanie na czatach przy schodach. Gdy lokator numeru 11 już uśpi jakim narkotykiem swego sąsiada i ograbi go, będzie starał się potem wyjść najspokojniej z hotelu jak zwykły gość, który udaje się na pociąg lub idzie na spacer, lecz w chwili, gdy będzie przechodził koło Lapipa, agent zarzuci mu szybko kajdanki, tak iż ten schwycony w ciemnościach nie będzie się mógł bronić; potem opiekę nad nim powierzy zwykłemu policyantowi.

To go jednak nie interesowało. Chodziło mu głównie o to, by dla siebie zatrzymać zaszczyt aresztowania Amerykanina i ułatwić w ten sposób przyznanie sobie za to nagrody. Poszedł do drzwi wchodowych i zamknął je starannie, klucz zaś schodo kieszeni, szepcąc do siebie:

— Nikt już stąd nie wyjdzie bez mego pozwolenia.

Potem ułożył na tacy nakrycie. położył jajka i kotlet i podchodząc do pokoju 10, zapukał.

— Proszę!

Forster, a właściwie Durand, gdyż pod tem nazwiskiem zapisał się, siedział najspokojniej w lekkim negliżu na krześle i przeglądał rozkład jazdy. Na stole koło okna stała na poły otwarta żółta waliza; w jednej przegródce widniały jakieś pakiety, owinięte w dziennik, nie zdradzające jednak swoim kształtem nic szczególnego: zawartość drugiej przegródki była niewidoczna.

Może tam właśnie znajdowały się paczki banknotów skradzionych, których rzezimieszek nie zdeponował przecież w żadnym banku amerykańskim.

Żaden z tych szczegółów nie uniknął wzroku agenta, gdy wszedł do pokoju. Lecz nieznajomy miał minę tak spokojną, iż wzbudził nawet pewne wahanie w Lapipie.

— A może kapitan pomylił się? Może to jest uczciwy przejezdny, który udając się z południa do Bordeaux, zatrzymał się czasowo w Paryżu?

W chwili tej ten nieznany gość zwrócił na niego oczy, pytając się czego chce i utkwił na nim swój wzrok.

Teraz Lapipe nie miał już wątpliwości. To były te jasne, zimne, stalowo-niebieskie oczy, które tak dobrze zapamiętał kapitan.

Stawiając tacę na krześle. skierował się ajent do walizy, by pod pozorem uprzątnięcia stołu zajrzeć do środka, gość jednak nie dopuścił do tego, gdyż zerwał się i zawołał żywo:

— Proszę nie ruszać!

I sam przeniósł walizę na łóżko.

— Hm, hm — pomyślał Lapipe — skarb musi być tutaj.

Gość pożałował zapewne swej żywości, która mogła zwrócić szczególną uwagę na tę walizę, gdyż pośpieszył wytłomaczyć się:

— Znajdują się tam rzeczy nader kruche, których trzeba się dotykać z wielką ostrożnością!

— Gadaj sobie, mój przyjacielu — mruknął pod nosem Lapipe.

Potem zapytał głośno:

— Czy pan pozostanie do jutra?

Mniemany Durand nie okazał najmniejszego zdziwienia wobec tego pytania, które mogło wydać się niedyskretne, lecz odpowiedział:

— Tak; proszę obudzić mnie o dziewiątej, jeżelibym spał jeszcze, o dziesiątej chcę wyjechać ekspressem do Bordeaux.

— Dobrze. Czy na razie niczego pan nie potrzebuje?

— Niczego, mój przyjacielu.

— Dobranoc panu...

Lapipe wychodził już, rzucając dokoła siebie szybkie spojrzenia, gdy gość zawołał go jeszcze.

— A jeżelibym potrzebował czego w nocy?

— To proszę nacisnąć tylko guzik, który jest przy kominku.

— Czy pokój pana znajduje się w pobliżu?

Agent wahał się z odpowiedzią, podejrzewając jaką pułapkę.

Potem pomyślał, że złodziej obawia się o swoje miliony i chciałby mieć jaką pewność, że mu nic nie grozi. Dla dokonania zamiaru nie można budzić w nim żadnych podejrzeń, lecz trzeba uspokoić go w zupełności.

— Pan może spać bezpiecznie — odrzekł z uśmiechem — ja jestem akurat pod panem w kancelaryi hotelu.

— Dziękuję — rzekł, żegnając go ruchem ręki.

Lapipe, wychodząc z pokoju, rozważał zebrane szczegóły:

— Wygląda on na zucha, ale i ja nie gorszy jestem od niego. Jutro o dziesiątej może spać dalej, lecz za kratkami, a ekspres zamieni mu się w tapczan.

Gdy stanął na progu, natknął się na Anglika, który z podniesionemi do góry rękami krzyczał na cały głos:

— What a shame! I hawe not got my luggage yet!... What can. I do without it?... Do go and look for it!...

Lapipe nie zdradzał ochoty do słuchania tej jeremiady, której zresztą wcale nie zrozumiał.

— Ach! — zawołał — mógłby mnie pan zostawić w spokoju... to nie do zniesienia... wszędzie tylko pana słychać.

Ale Anglik niezmieszany tem zaczął na nowo:

— Don't you understand that. I must dress my self? By Jore it is ridiculous!

Ajent schylił się z przesadną uprzejmością aż do ziemi i łobuzowskim tonem, który go nie opuszczał w najcięższych nawet okolicznościach.

— Yes!... yes!... yes!... — zawołał i zostawił go samego.

Gdyby jednak wyszedł o chwilę wcześniej, zastałby Anglika z uchem, przyłożonem do dziurki pokoju Nr. 10 i słuchającego, co się wewnątrz dzieje..

Noc już była zupełna. Dla zabicia czasu i by nie poddać się senności, która przypominała się po nieprzespanej poprzedniej nocy, Lapipe zaczął pisać raport do prefekta policyi. Czas upływał powoli. Wybiła godzina dziewiąta, potem pół, potem dziesiąta. Cisza i spokój panował w hotelu. Nagle, gdy przystąpił do opisu o przyjeździe do Paryża, oczy jego lekko zamknęły się. Starał się walczyć, opierać przeciw tej ociężałości, która go całego ogarniała. Na nic nie przydały się wszelkie wysiłki. Jakaś siła potężniejsza od jego woli pokonała go. Wkrótce głowa jego opadła bez czucia na stół.

. . . .

Drin!... drrrin!... drrrrrrrin!...

Dzwonek telefonu brzęczał nieprzerwanie i dźwiękiem swym napełniał ciasną kancelaryę hotelu.

Drrrrrin!... Drrrrrrrrin!...

Lapipe obudził się nagle.

— Co?... co?... co się stało?...

Jakaś dziwna odrętwiałość zdawało się, iż sparaliżowała go. W skroniach czuł jakiś świdrujący szum. Umysł miał zupełnie zniedołężniały. Nie mógł zdać sobie sprawy, co się dzieje dokoła niego. Z trudem tylko zdołał utrzymać się na nogach, które uginały się pod nim. Po przez okna zaglądało słabe, mdłe światło wschodzącej jutrzenki, która zwolna tłumiła blask świecącego się gazu. Lapipe schwycił się za głowę, starając się uporządkować swe myśli, lecz naprożno.

— Gdzie jest?

— Co robi w biurze hotelowem?

— Co mu się stało?

Zadawał sobie to pytanie, lecz nie mógł na nie odpowiedzieć.

Drin... drrrin... drrrrrin...

Telefon znowu zaczynał brzęczeć przeraźliwie. Lapipe dotarł z trudem do telefonu, odczepił słuchawkę i rzekł:

— Hallo!

Jakiś głos zapytał:

— Czy to hotel „Księcia Portugalskiego“?

I zaraz dodał:

— Czy z agentem policyi rozmawiam?

Jego osłupienie było tak wielkie, iż nie mógł zdać sobie sprawy, jak dziwne było to zapytanie, zwłaszcza iż nikt nie powinien wiedzieć o jego tu pobycie.

Odpowiedział:

— Tak.

— A więc mam zaszczyt zawiadomić pana inspektora, iż lokator z pod numeru 10 został zamordowany.

Lapipe nie mógł jeszcze zrozumieć znaczenia słów, które usłyszał.

Słabość, wywołująca silne teorye, nie pozwoliła mu zważyć doniosłości tej wieści.



Siedział najspokojniej w lekkim negliżu i przeglądał rozkład jazdy.

— Powietrza — wyszeptał — powietrza...

Opuścił słuchawki i doczołgał się do okna, ktore roztworzył na oścież. Opierając się o framugę, odetchnął głęboko. Świeży powiew wiatru uderzył go prosto w twarz, rozpraszając ciężar, jaki przygniatał mu mózg. Zwolna ustępowała i paraliżująca go odrętwiałość. Wkrótce odzyskał świadomość siebie, a z nią powróciła i pamięć. Marsylia... pasażer ze „Starego Czarnego Psa“... pokój Nr. 10... raport do prefekta... nagły sen... Jakiś błysk rozświecił mu umysł:

— Ten nędznik uśpił mnie!...

Istotnie powietrze w pokoju było przesiąknięte wonią chloroformu... eteru... czegoś nieokreślonego, przypominającego apteki, czego jednak nie mógł określić. Lecz jak się to stało?... nie słyszał, by kto przychodził, a przecież nie usypia się kogoś na odległość, tak jak wysyła się depeszę telegrafem bez drutu!... Podbiegł do drzwi. Były one zamknięte, a klucz tkwił wewnątrz.

Okno?... lecz on sam je otworzył przed chwilą, którędy mógł ten szczur hotelowy wymknąć się?... W każdym razie Amerykanin znajduje się w swym pokoju, zapewne uśpiony jak i on przez tego łajdaka. Więc nie uciekł, a to jest główne.

Nagle krzyknął głośno, uderzając się w czoło:

— Przecież mi powiedziano przed chwilą, że kogoś zamordowano?... Kto podał mi tę wieść?... telefon!...

Teraz przypomniał sobie. Zamordowano gościa z pod numeru 10 i w dodatku zabójca, by z niego zadrwić, sam go o tem zawiadomił, gdy poczuł się bezpiecznym. Wszystko to było tak niezwykłe, iż Lapipe pytał się siebie, czy nie stał się przypadkiem ofiarą halucynacyi. Że go uśpiono, był to fakt stwierdzony, wszystko inne jednak mogło być tylko przywidzeniem.

Pobiegł szybko po schodach, dopadł do numeru 10 i schwycił za klamkę... Drzwi nie otworzyły się... były zamknięte od wewnątrz.

— A więc tak — odetchnął Lapipe — ja tylko śniłem, to był sen...

Powracając jednak, dostrzegł blask światła, dobywający się z numeru 11 i to go przywróciło do przytomności.

Zbliżył się... popatrzył... pokój był pusty.

Musiało więc coś zajść! Lecz co? Trzeba natychmiast wszystko wyświetlić.

Wrócił do numeru 10 i zaczął z całej siły walić we drzwi... Nikt nie odpowiadał. Pobiegł pędem do gospodarza.

— Co jest?... Co się stało?... — bąknął gospodarz, obudzony z nienacka.

Agent zapytał:

— Czy ma pan klucz od pokoju 10?

— Do wszystkich drzwi mam podwójne, panie inspektorze.

— Proszę dać mi je prędko!

Hotelarz zerwał się pospiesznie, poszukał w szufladzie i podał Lapipowi cały pęk kluczy, potem, ubierając się szybko, podążył za agentem, który spieszył się z powrotem.

— Przecież klucza niema w zamku od wewnątrz — zastanawiał się Lapipe. — Upraszcza to mój trud... nawet nie jest on przekręcony dwa razy... Ten łajdak zbyt był pewny, że mu nie przeszkodzę.

Widok, jaki przedstawił się ich oczom po otworzeniu drzwi, zatrzymał ich jak skamieniałych na progu. Podróżny leżał na ziemi przy pognieciönem łóżku z rękami zarzuconemi na twarz, z nogami na poduszce, która spadła na ziemię. Był w spodniach i koszuli; na jednej nodze miał pantofel, podczas gdy drugi leżał z boku pod krzesłem.

Agent zaklął głośno:

— Psiakrew! Do stu tysięcy dyabłów!

Przypomniał sobie przysłowie, iż nie należy chwytać naraz dwóch srok.

Sam czuł swą winę, iż zbyt zaufał sobie, a nie pomyślał, iż może zajść jaki nieprzewidziany wypadek, wyniknąć jaka zawada w chwili, gdy najmniej jej będzie się spodziewał. Wyrzucał sobie, że zahypnotyzowany tą wielką nagrodą, myślał tylko o swym Amerykaninie, a zlekceważył złodzieja z chloroformem, który nie był tak naiwnym, by wpaść w pierwszą zastawioną dla siebie pułapkę.

Teraz gdy miliony uleciały daleko, ma czas zastanawiać się i strofować za swą lekkomyślność. Sprawa przepadła marnie, do szczętu...

— Niczego nie można się dotykać przed przybyciem komisarza — odezwał się bojaźliwie gospodarz.

— Ma pan racyę — potwierdził agent — mogę jednak dokonać małego badania.

Ból głowy, który mu dokuczał od obudzenia się, wzmógł się do tego stopnia, iż teraz nie mógł zupełnie dać sobie rady z myślami, które rozpierzchłe huczały mu poprostu w mózgu.

— Ale jak pan inspektor jest blady! — zaniepokoił się nagle gospodarz.

— Miewam napady migreny — odparł niedbale — gdyby nie obowiązek, który mnie tu zatrzymuje, położyłbym się już dawno spać.

Pocierając ręką po czole, jakby chciał zetrzeć stamtąd ból, zaczął pospiesznie badać pokój.

Pierwszą rzeczą, jaka go uderzyła, było odchylone okno.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po wybuchu prochowni.

Zarówno ludność Krakowa, jak Podgórza i gmin okolicznych, pozostaje jeszcze ciągle pod deprymującem wrażeniem katastrofy z dnia 5 b. m., czując się nieustannie zagrożoną w całości swego życia i mienia. Wprawdzie niebezpieczeństwo istniało tak dawno, jak dawno istnieją wielkie składy prochu i gotowej amunicyi w twierdzy krakowskiej — jednakże dopiero ostatnia eksplozya dała przedsmak tego, co nas ewentualnie spotkać może.

Naturalnym tedy wynikiem obaw na tym punkcie są energiczne protesty reprezentacyj gmin interesowanych przeciw istnieniu składów amunicyi w odległości, zagrażającej osadom ludzkim w obrębie Krakowa, Podgórza itd. Miejmy nadzieję, że te protesty odniosą skutek w najbliższym czasie, tak abyśmy mogli żyć bez ciągłej obawy o nasze życie.

Inną kwestyą, wynikłą z sobotniego wybuchu, jest kwestya odszkodowania za straty, które wyrządził osobom prywatnym, a które sięgają wyżej pół miliona koron. Należy spodziewać się, że skarb państwa pospieszy się z wynagrodzeniem za nie i to tem więcej, że najwięcej szkody poniosła ludność zupełnie uboga, utraciwszy w wielu wypadkach całą swą własność ruchomą i nieruchomą, nie mówiąc już o szwanku na zdrowiu przez odniesione rany.

Ryciny, jakie w dalszym ciągu illustracyj do katastrofy z dnia 5 b. m. podajemy w niniejszym numerze, przedstawiają t. zw. „koszary salinarne“ na Podgórzu, odstąpione przez wojskowość na czasowe schronienie dla tych, którym wybuch zniszczył domostwa, względnie mieszkanie i oddział wojska, obozujący w pobliżu katastrofy i wystawiający szereg posterunków, które je otaczają. Dotąd bowiem na polach okolicznych rozrzucone są całe pociski działowe, mogące eksplodować, gdyby ktoś, znalazłszy je, obchodził się z nimi nieumiejętnie. Trzecia wreszcie rycina daje pojęcie o tem, jakie szkody poczynił wybuch we wnątrz domostw.



Po wybuchu prochowni: Jedna z will w Woli Duchackiej, ze zniszczonym przez wybuch dachem.

Z biednego subjekta milionerem.

Jaką korzyść może kupcowi przynieść reklama, energia i pomysłowość, połączone z tak zwaną „szczęśliwą ręką“ mamy dowód na zmarłym niedawno w Paryżu przemysłowcu, panu Chauchard, założycielu jednego z największych kupieckich magazynów świata, słynnego paryskiego Luvre'u.

Karyerę swą kupiecką rozpoczął Chauchard jako subjekt w małym sklepie galanteryjnym w Paryżu *au pauvre diable*, skończył zaś jako milioner, który pozostawił przeszło 200 milionów franków majątku. Znając dokładnie usposobienie Paryżan, wpadł Chauchard na pomysł, iż u publiczności liczyćby mógł na powodzenie magazynu w którymby się znajdowały wszelkiego rodzaju towary, podzielone systematycznie na specyalne grupy. W tym celu zawarł spółkę z młodym pomocnikiem handlowym Ludwikiem Hériot, a z drobnych oszczędności zebrany szczupły kapitalik, utworzył podwaliny iście magnackiej fortuny. W r. 1854 w czasie przebudowania Paryża zakupili oni za bezcen spory kawał gruntu, na którym wzniósł się zaczątek tego, co później miało się nazywać *Les grandes magazins de Louvre*. Jako kierownik spółki rozwijał Chauchard niestrudzoną działalność i był niewyczerpany w wynajdywaniu coraz to nowych sposobów przyciągania publiczności. Wysprzedaże, premie dla kupujących, prezenty dla dzieci klientów, to jego wynalazek. Reklamą nie gardził, wychodził jednak z zasady, że nie powinna ona nigdy zalecać tandety. Po upływie kilku lat interesy *Louvre'u* tak się rozwinęły, iż magazyny przeniesiono na spółkę akcyjną. Nominalna wartość akcyi wynosiła podówczas 2500 franków, dziś płacą już po 250 tysięcy.

Chauchard był w Paryżu osobistością bardzo popularną, nie wyzbył się jednak drobnych próżnostek parweniusza i dbał o to, by ludzie wiedzieli, jakim jest znakomitym człowiekiem. Jedną z jego próżności było mecenasostwo sztuki: galerya, którą te-



Echa strasznej tragedyi: Sypialnia ś. p. dr. Lewickiego, w której został zamordowany. (X) Miejsce, w którym znaleziono go dogorywającym; (XX) otomana, na której sypiał w lecie i na której prawdopodobnie został zamordowany.

stamentem zapisał państwu, ocenioną jest na 70 milionów franków. Ponieważ zmarły był kawalerem, majątek swój przeznaczył przyjaciołom i na cele użyteczności publicznej, nie zapominając i o swych współpracownikach, oraz o wydawcy *Figara* Gustawie Calmette, któremu zapisał 2 miliony, ponieważ, jak wyraźnie zaznacza: „w dzienniku swym poddawał mu szczęśliwe myśli“. Egzekutorem testamentu, od którego podatek spadkowy wynosi 18 milionów, zamianował byłego prezydenta Rzeczypospolitej Loubeta.

Pogrzeb Chaucharda odbył się w Paryżu w dniu 8 czerwca, przy ogromnym udziale publiczności

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Jeszcze o Borowskiej. — Refleksye z racyi wybuchu prochowni. — Wzajemność uczuć. — Upośledzenie kobiet. — Lex Henton. — Nieco o polityce i nadzieje na przyszłość).

Gdy cała Europa wytężyła swe oczy na północ i południe, śledząc także bieg wypadków politycznych, my przeżuwamy ciągle zeszłotygodniowe zdarzenia, które w poczynającym się sezonie ogorkowym stanowiły znakomity przedmiot do dziennikarskiej mizeryi. Nożyce, które rok temu pracowały z takim zapałem, dziś leża po redakcyach spokojnie i odpoczywają, używane chyba od czasu do czasu do rozcinania listów z zapytaniami od Szanownych Czytelniczek, czy Borowska już się przyznała, czy jeszcze nie. Osobą, która zajmuje opinię publiczną, jest teraz posługaczka ś. p. Lewickiego, interwiewowana na wszystkie strony przez najrozmaitszych sprawozdawców dziennikarskich w służbie czynnej i rezerwie. Dając folgę przysłowiowej babskiej elokwencyi, nie żałuje też interpelowana organów głosu i wszem wobec i każdemu z osobna opowiada, co wie i czego się domyśla. Natomiast pies zmarłego „Mruk“, prawdopodobnie dla swej małomowności tak nazwany, trzyma się stanowczo w rezerwie i stanowczo odmawia wszelkich zeznań, nawet sędzia śledczy grozą paragrafów nie zdołał zeń wydusić ani słowa. W jednym z dzienników napotkałem nawet bardzo racyonalne przypuszczenie, iż ów piesek działa w porozumieniu z Borowską, za czem przemawia postawiona niedawno przez jakiegoś naturalistę hipoteza o przekupieniu psiego rodu, którego faworv łatwo sobie zjednać kawałkiem choćby krakowskiej kiełbasy.

Skoro więc cała prasa zajmuje się tą sprawą, ja pozwolę sobie dać jej spokój, obiecując jednakowoż powrócić do niej, gdy będę mógł podzielić się z Czytelniczkami jakąś pewną a ciekawą wiadomością. Natomiast zawadzę o drugą sensacyę ubiegłego tygodnia t. j. o wybuch prochowni na Podgórzu. Z przerażenia już stanowczo ochłonęliśmy, to też zupełnie na zimno warto się nad całą sprawą zastanowić. O ile sama eksplozya z natury rzeczy miała przebieg gwałtowny, o tyle jej następstwa wloką się bardzo powoli. Rada miejska krakowska i podgórska oraz wydział powiatowy wielicki zabrały się do niej na razie dość energicznie, zwróciły się nawet do przedstawicieli władz wojskowych, tu jednak oblano ich zimną wodą, oświadczając, iż jeśli wogóle wojskowość co zapłaci poszkodowanym, uczyni to nie z musu, ale wiedziona uczuciem ludzkości. Mnie się zdaje, że jeśli ktoś własnowolnie robi coś takiego, co mogłoby drugiego narazić na szkodę lub niebezpieczeństwo, niczem innem nie jest przecież budowa drewnianych prochowni w takiem pobliżu osad ludzkich, ten temsamem w myśl litery prawa, nietylko uczuć humanitarnych, powinien ponosić wszelkie konsekwencye swego czynu.

W dalszym ciągu muszę wyrazić najpokorniejsze i zupełnie lojalne zdziwienie, iż akcya ratunkowa na rzecz poszkodowanych postępuje bardzo leniwo. Zdarza się zwykle, że po pożarze, który nawiedzi jakąś miejscowość i zniszczy kilka lub kilkanaście budynków, zawiązuje się zaraz komitet ratunkowy, który zbiera składki na rzecz pogorzelców; w tym wypadku o czemś podobnem ani nie czytałem, ani słyszałem, chociaż liczba poszkodowanych wynosiła nie dziesiątki, lecz setki, a niektórzy przez kilka dni po wybuchu pozbawieni byli i dachu nad głową i ciepłej strawy, której nie było gdzie ugotować. Lało się im i za kark, choć wojskowość mogła bardzo łatwo temu w jednej chwili zapobiedz, budując im tymczasowe mieszkania, a rąk do roboty i materyału nie zabrakłoby z pewnością. Starostwo podgórskie zbiera wprawdzie daty statystyczne, odnoszące się do wypadku, a komisya mieszana, mająca za zadanie ustalenie wysokości szkód urzędnie, wobec jednak znanego i wypróbowanego niejednokrotnie pośpiechu naszej biurokracyi wątpić wypada, czy owo odszkodowanie tak rychło nadejdzie, a tu pomoc doraźna jest stanowczo wskazana, zwłaszcza że wypadek dotknął sfery najbiedniejsze. W jednej tylko *Gazecie powszechnej* spotkałem listę składek na rzecz ofiar katastrofy, a i ta w poniedziałek 14 czerwca, więc w dziesięć dni po wypadku, wynosiła zaledwie 93 K 28 h., więc stanowczo za mało. Nie czekajmy, aż niepowołane czynniki wezmą poszkodowanych w obronę i będą potem pokazywać na nas palcem, że zajęcie się losem ludu pracującego mamy często na ustach, ale nigdy w sercu. Uczucie platoniczne i dobre chęci stanowczo w tem nie wystarczą.

Jeśli społeczeństwo nasze odnosi się z taką uprzejmością zawsze i wszędzie do sfer wojskowych, czyniąc zawsze zadość ich żądaniom, a nawet nieraz uprzedzając je i *vice-versa* dziać się powinno, wojskowość powinnaby odpłacać nam wzajemnem uczuciem, a właśnie teraz najodpowiedniejsza nadarza się sposobność. Wszakże tylko dla wojskowości Rada Szkolna krajowa przyznała prawo publiczności żeńskiemu seminaryum niemieckiemu w Krakowie, utrzymywanemu przez Córki Bożej Miłości, mimo iż nie jest ono jeszcze zupełne i mimo, iż nasze seminarya bezskutecznie zawsze o to kołatają. Widać z tego, że wszystko da się zrobić, jeśli tylko są dobre chęci, niechże więc i wojskowość pokaże, że i jej na dobrych chęciach nie zbywa.

Myślę, że te wszystkie utyskiwania i narzekania zginą z horyzontu bezpowrotnie, gdy nastaną owe idealne czasy, kiedy to obie płci, brzydka i nadobna, zostaną zrównouprawnione, tj. gdy kobiety wezmą się do rządów, a mężczyźni do kuchni. Nie będzie mógł wtedy nikt już narzekać, iż dzieje mu się krzywda, nasze panie bowiem, jako istoty obdarzone nader delikatnem uczuciem, nigdyby na to nie zezwoliły, skoro płaczą nieraz nad losem pchły, którą przyjdzie im uśmiercić. Bo, że mężczyźni są stworzeniami o kamiennem sercu, na to mamy aż zanadto dowodów. Dosadną illustracyą tego jest ostatnia uchwała Rady miejskiej krakowskiej, wyrzucająca tradycyjne stragany z Małego Rynku, z którymi związały się nierozdzielnie losy przekupek i kolegujących z niemi w miłej zgodzie handełesów. Wprawdzie obiecuje magistrat zaprowadzenie więcej estetycznie wyglądających ławek, a nad szlachetnymi owocami nawet i parasoli, czyż jednak jedne i drugie mogą iść w porównanie z wygodnymi kramami, w których wychowało się kilka pokoleń? Albo uchwała Rady miejskiej o zaprowadzeniu kuchni szkolnych, czyż nie jest prowokacyą najświętszych uczuć rodzaju żeńskiego, przypominając tak brutalnie, iż kobieta ma myśleć tylko o żołądku swego męża-tyrana, gdy ona przeciwnie czuje w sobie aspiracye do wyższych celów? Skoro postępujemy z płcią piękną tak bezlitośnie, przypiszmy sami sobie winę, że powaga nasza i znaczenie bezpowrotnie upadnie, a mąż będzie tylko cierpianym w domu sprzętem, którego działalność ograniczyć się musi do oddania całej pensyi na pierwszego, a przez cały miesiąc do dmuchania w ognisko rodzinne, aby nie zgasło, skoro pani ciągle za domem. Lwowskie sufrażystki dla swych zwolenniczek zaprowadzają lekcye śpiewu, krakowskie jeszcze tak daleko nie zaszły. Na pochwałę naszego męskiego rodzaju muszę jednak zaznaczyć, iż obchodzi on się z płcią słabszą prawdziwie po rycersku i z wrodzoną galanteryą, nie tak, jak ordynarni Anglicy lub Amerykanie, którym tamtejsze sufrażystki już zanadto dokuczyły. U nas nie zdobyłby się nawet najodważniejszy mężczyzna na tak szatański pomysł, jak Amerykanin Henton, w stanie Illinois, który wniósł projekt ustawy, nazwany od jego nazwiska *lex Henton*, na mocy której największy kapelusz damski może mieć tylko 45 centimetrów średnicy, a szpilka z jednej i drugiej strony może wystawać jedynie na 15 centimetrów. I ja pobożnie, choć w cichości, wzdycham do podobnej ustawy, któraby u nas obowiązywała, mając na swej śmiertelnej powłoce widoczny zupełnie znak od szpilki, jakim mnie jakaś nadobna Krakowianka obdarzyła mimowoli wsiadając do tramwaju. Wprawdzie wielkie kapelusze mają i praktyczne znaczenie w gospodarstwie domowem, wykluczając zupełnie potrzebę noszenia parasoli i służąc w razie potrzeby jako łódź lub kołyska, zagrażają jednak bezpieczeństwu publicznemu i wygodzie. Na podobieństwo napisów na wagonach kolejowych na dziłbym i na wozach tramwajowych poumieszczać tablice: Dla sześciu mężczyzn lub jednej pani w n o-dnym kapeluszu.

Zanadto uniosłem się w zapale i widzę, że zamiast chwalić nowy porządek rzeczy rzucam inwektywy na ród niewieści, co mi stanowczo na zdrowie wyjść nie może i przyjdzie mi zapewne zapłakać nad swym losem, gdy moja żona to przeczyta i to tak serdecznemi łzami, jak poseł Stapiński w czasie wywodów dra Kreka. Wolę więc dać temu spokój ze względu na osobiste bezpieczeństwo i sądzę, że daleko energiczniej zająć się może i powinien tą sprawą jakiś kawaler, nie potrzebujący się obawiać pociągnięcia do odpowiedzialności przed trybunał domowy.

Dajmy więc spokój kwestyi kobiecej, a rozglądnijmy się po horyzoncie politycznym, na którego południu zbierają się znowu czarne chmury. Książę Jerzy wprawdzie siedzi cicho i występuje z wojska, poczem udaje się do kąpiel, gdzie ma zamiar przeprowadzić radykalną kuracyę Zacherlinową, natomiast Turcy i Grecy okazują tak wysokie napięcie energii, iż grozi ono lada chwila wybuchem. Chodzi o sprawę kreteńską, stanowiącą piętę Achillesową tak Turcyi jak i Grecyi. Nas w każdym razie ta sprawa zupełnie nie dotknie, możemy więc przejść nad nią do porządku dziennego. Ważniejszym jest już zjazd monarchów na wodach fińskich, który ma się przyczynić do ugruntowania spokoju europejskiego i uregulowania kwestyi perskiej. Jakie będzie miał skutki, dowiedzą się o tem ciekawi z pism politycznych, zaznaczyć jednak muszę, iż nie wpłynie on wcale na obniżenie zapału, z jakim ludowcy jadą na narodowych demokratów i odwrotnie. Energia, z jaką nasze stronnictwa, zawsze na ustach z hasłem: Dla dobra kraju! nie pozostawiają na sobie suchej nitki, godną jest lepszej sprawy, ale kto wie, czy doczekamy tej miłej chwili, gdy *Słowo polskie* da buzi *Dziennikowi*, a *Gazeta powszechna* uściśnie serdecznie *Nową Reformę*, która wspólnie z *Czasem* zleje się w jedną całość pod tytułem: *Zreformowany Czas*. Nastanie wtedy błogi spokój, niczem w raju w pierwszych dniach po stworzeniu świata, kiedy to wszelakie krwiożercze potwory chadzały z sobą w miłej zgodzie i jedności, jeden chyba *Naprzód* nie pisze się na to, zgoda bowiem w społeczeństwie, to „nie jest dla niego żaden interes“. *X.*

C. k. Dyrekcya kolei państwowych ogłasza: Z dniem 15 czerwca b. r. zaprowadza się na liniach kolei państwowej Wiedeń-Lwów i Bierzanów-Wieliczka nowy rozkład jazdy, który będzie obowiązywać do dnia 15 września b. r.

W okręgu c. k. Dyrekcyi kolei państwowej w Krakowie zaszły następujące najważniejsze zmiany:

Celem zapobieżenia przepełnieniu pociągu pospiesznego Nr. 4, zaprowadza się na szlaku Lwów-Kraków pociąg pospieszny Nr. 104, który będzie mieć w Krakowie bezpośrednie połączenie do pociągu pospiesznego Nr. 104, kursującego od dnia 1 maja b. r. z Krakowa do Wiednia.

Pociąg Nr. 4 ma służyć w czasie od 15 czerwca do 15 września b. r. wyłącznie dla podróżnych, jadących na dalsze przestrzenie; z tego powodu znosi się przy tym pociągu: 1) zatrzymanie w stacyach: Sędziszowie, Ropczycach, Słotwinie, Brzesku i Bochni; 2) wysiadanie w Dębicy, Tarnowie i Podgórzu Płaszowie i wydawanie kart do tych stacyj.

Zatrzymanie w Podgórzu-Płaszowie służyć będzie jedynie dla celów służbowo-ruchowych. Pociąg Nr. 104 kursować będzie bezpośrednio za pociągiem Nr. 4 i spełniać dotychczasowe zadanie tego ostatniego.

Pociąg osobowy Nr. 24 będzie odjeżdżać z Rzeszowa i przyjeżdżać do Krakowa później, jak obecnie i nie będzie mieć w Tarnowie połączenia do pociągu osobowego Nr. 620 w kierunku do Stróż.

Pociąg Nr. 413 między Krakowem a Wieliczką i pociągi Nr. 466, 467 i 468 między Bierzanowem i Wieliczką uległy bardzo nieznacznym zmianom, o których, jak i o innych szczegółach można się poinformować ze ściennych rozkładów jazdy, wywieszonych we wszystkich stacyach, tudzież z poprawek do kieszonkowego rozkładu jazdy, które wydawać będą bezpłatnie kasy osobowe podróżnym, posiadającym takież rozkłady jazdy, na żądanie.

Z dniem 16 września b. r. wejdzie ponownie w życie rozkład jazdy, wydany w dniu 1 maja b. r.

Za c. k. dyrektora kolei państwowych

Solecki.

Echa strasznej tragedyi.

Drugi tydzień mija a straszna tragedya, której ofiarą padło młode życie adwokata dra Lewickiego,



Fot. Kuczyński i Gürtler
Echa strasznej tragedyi: Zamordowany adwokat Lewicki, ze swym ulubionym psem.

nie schodzi ze szpalt dzienników i nie przestaje interesować ogółu. Bo prócz tragedyi jest tu dużo tajemniczości, której dotąd śledztwo sądowe nie zdołało odsłonić. Jest zbrodnia, jest morderstwo — to chyba pewne. Ale jakie motywy popchnęły młodą kobietę do strasznego czynu, jaki przebieg był tragicznej nocy?

W dotychczasowem śledztwie wyszło na jaw sporo szczegółów, poprzednio nieznanych, mogących rzucić odrobinę światła na tragiczną tę sprawę. Wiadomo mianowicie, że Janina Borowska była nietylko osobą histeryczną, ale niesłychanie zazdrosną. Zakochawszy się aż do szaleństwa w młodym, przystojnym swym obrońcy, cierpiała widząc jego obojętność. Zwłaszcza bolało ją to, iż ś. p. dr. Lewicki nosił się z zamiarem ponownego wstąpienia w związki małżeńskie z hr. Tyszkiewiczową, wdową po lekarzu hr. Tyszkiewiczu. Śledziła więc Borowska każdy krok ś. p. Lewickiego a wieczór przed straszną zbrodnią spędziła na czatach pod mieszkaniem hr. Tyszkiewiczowej przy ul. Wolskiej, wiedziała bowiem, iż on tam przebywa.

Ale dalszy przebieg dramatu osłonięty jest tajemnicą. Borowska odmawia podania bliższych szczegółów. Nie prawdziwe też są doniesienia pewnych pism, jakoby oskarżona przyznała się do czynu albo też, jakoby wyniki śledztwa te wątpliwe momenty wyjaśniły.

Doniesienie jednego z dzienników przypisało dużą rolę w toczącem się śledztwie ulubionemu psu ś. p. dra Lewickiego, „Mrukowi“, podając, że kiedy Borowską przesłuchiwano na miejscu wypadku, pies ten rzucił się na nią z wielką zajadłością. Jest to nieprawda, gdyż Borowskiej do tej chwili w mieszkaniu śp. Lewickiego nie przesłuchano.

Przesłuchano natomiast cały szereg osób, które od wielu lat znały śp. dra Lewickiego i pozostawały z nim w bliższych stosunkach przyjaźni. Ważne były zeznania panny Stefanii Jasińskiej, która od wielu lat pracuje w kancelaryi zamordowanego i która obserwowała zachowanie się Borowskiej od pierwszej chwili jej poznania się z śp. Lewickim.

Także substytut zmarłego dr. Kłębkowski, dodał nie jeden ważny szczegół, pozostawał bowiem z śp. Lewickim do ostatnich chwil jego życia w ciągłym kontakcie. Obecnie on prowadzi agendy kancelaryi zmarłego.

Decydujące będzie zapewne przesłuchanie Borowskiej na miejscu czynu. Mieszkanie prywatne ofiary tragedyi jest jeszcze ciągle przedmiotem badań ze strony sędziego śledczego. Bardzo ważny materyał stanowią w niem resztki popalonych listów, znalezione na piecu kuchennym i w jego wnętrzu. Wobec prawie zupełnego zniszczenia tych papierów, czeka sędziego śledczego bardzo żmudna praca.



Fot. Kuczyński i Gürtler.
Echa strasznej tragedyi: Panna Stefania Jasińska, mundantka kancelaryi ś. p. Lewickiego.

Uroczystość na „Czartowskiej Skale“.

W dniu 10 b. m. odbyło się z wielką uroczystością poświęcenie w lesie lesienickim pod Lwowem na tak zwanej „Czartowskiej Skale“, krzyża pamiątkowego i tablicy, zniszczonej dwa miesiące temu przez zbrodniczą rękę hajdamaków.

Uczestnicy tej podniosłej, patryotycznej uroczystości w liczbie przeszło 2000 zebrali się w parku



Echa strasznej tragedyi: Kuchnia, gdzie znaleziono popalone papiery i listy (X)

łyczakowskim przed pomnikiem Bartosza Głowackiego, skąd o godzinie wpół do 4 popołudniu wyruszyli ku Lesienicom. W barwnym tym orszaku, składającym się przeważnie z przedstawicieli mieszczaństwa, wzięły udział liczne stowarzyszenia, jak



Echa strasznej tragedyi: Adwokat dr. Klębkowski.

„Gwiazda“, inicyatorka tej uroczystości, „Skała“, „Wspólność“ i t. d. a także wszystkie drużyny sokole z gniazd lwowskich i z Winnik, oraz liczni włościanie z polskich wsi okolicznych.

Nową żelazną tablicę wysokości $1^1/_2$ a szerokości 1 metr wmurowano znacznie wyżej i po przeciwnej stronie, niż tablicę dawniejszą, nad nią zaś umieszczono obrazek M. Boskiej Częstochowskiej. Pod skałą ustawiony był mały ołtarzyk, przed którym ks. biskup Bandurski odprawił ciche modły a następnie dokonał poświęcenia tablicy i krzyża. Wygłoszona przy tej sposobności przemowa ks. biskupa, znanego ze swady i gorącego patryotyzmu, wywarła na zgromadzonych głębokie wrażenie. Dostojny mówca, nawiązując do nazwisk Kościuszki i Głowackiego, wyrytych na tablicy oraz do napisu „3 Maja“, umieszczonego u stóp krzyża, nawoływał słuchaczy do jedności, wspólnej pracy i pielęgnowania przekazanych nam przez przodków ideałów.

Po przemówieniu ks. biskupa zgromadzeni odśpiewali pieśni patryotyczne. Gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki hymnu „Boże coś Polskę“, stanął na wzniosłem wzgórzu skalnem, radny miejski, dyrektor Majerski i przemówił, przedstawiając legendy i wspomnienia historyczne, związane ze skałą, oraz wzywając do nieustannej walki w obronie zagrożonej polskości. Na zakończenie zaś podziękował mówca ks. biskupowi Bandurskiemu za wzięcie udziału w uroczystości.

Po odśpiewaniu przez chór „Gwiazdy“ hymnu „Z dymem pożarów“ i odegraniu przez trębaczy kapeli narodowej hejnałów na szczycie skały, już wieczorem, rozeszli się do domów uczestnicy tej uroczystości, która w ich sercach i pamięci pozostawi niezatarte wspomnienia.

Rycina nasza przedstawia „Czartowską Skałę“, z tablicą świeżo wmurowaną (krzyż znajduje się z przeciwnej strony) oraz zgromadzone tłumy. Swego czasu podaliśmy fotografię dawnej, zniszczonej przez barbarzyńców tablicy.

Śmierć polskiego dostojnika Kościoła.

(Patrz illustracye na str. 8-ej).

Przed kilku dniami odbyło się w Żytomierzu złożenie do grobu zwłok ś. p. ks. arcybiskupa mohylowskiego Apolinarego Wnukowskiego, zmarłego po ciężkiej chorobie w Petersburgu, ku prawdziwemu żalowi wszystkich katolików, zamieszkujących cesarstwo rosyjskie, których był arcypasterzem, jako metropolita wszystkich kościołów katolickich w tem państwie.

Ś. p. arcybiskup urodził się w 1848 roku na Podolu i licząc zaledwie 17-rok życia wstąpił do seminaryum duchownego w Kamieńcu. Po zamknięciu tego zakładu przeniósł się do seminaryum łucko-żytomierskiego, skąd wysłany został w roku 1870 do akademii duchownej w Petersburgu, którą ukończył w cztery lata później ze stopniem magistra św. Teologii. Następnie zaś spełniał ś. p. arcybiskup kolejno obowiązki: profesora języka łacińskiego w seminaryum żytomierskiem, wikaryusza katedralnego tamże, kanclerza kuryi biskupiej, penitencyusza katedralnego i rektora seminaryum. W roku 1898 został prałatem kapituły żytomierskiej. W roku 1904 Ojciec św. Pius X. powołał go naprzód na katedrę biskupią w Płocku, a następnie na metropolitę w Petersburgu po śmierci ks. arcybiskupa Kłopotowskiego. Jego ingres uroczysty odbył się w Peterburgu w dniu 6 grudnia 1908 roku.

Zmarły arcybiskup, wzorowy kapłan i obywatel, zabrał się energicznie do pracy w swej olbrzymiej terytoryalnie, metropolii i wystarał się, pierwszy z metropolitów o pozwolenie na wizytacyę kościołów katolickich na Syberyi. Niestety groźne objawy choroby sercowej nie pozwoliły mu na dokonanie tej wizytacyi, której z takiem upragniem oczekiwały tysiące wiernych, a którą powierzył swemu sufraganowi, ks. biskupowi Cieplakowi.

Ryciny nasze przedstawiają: kaplicę w kościele



Echa strasznej tragedyi: Izabella hr. Tyszkiewiczowa.

metropolitalnym ze zwłokami Arcypasterza na katafalku, zasypanym wieńcami, oraz orszak pogrzebowy, zdążający ku warszawskiemu dworcowi w Petersburgu, skąd przeniesione zostały do Żytomierza. Nadmienić przytem wypada, że pomienioną kaplicę



Echa strasznej tragedyi: „Mruk“ pies ś. p. Lewickiego, mogący odegać wybitną rolę w w dalszem śledztwie.



Uroczystość na „Czartowskiej“ skale: Przemówienie dyr. Majerskiego po poświęceniu tablicy.

P. Jezusa malował na jego polecenie artysta malarz, p. A. Borowski, i że pierwszą mszę św. po restauracyi jej odprawiło się właśnie przy wystawionych zwłokach śp. nieodżałowanego ks. Arcybiskupa.



Z biednego subjekta milionerem: Orszak pogrzebowy Chaucharda w ulicach Paryża.

Sabina Zielińska.

Najsympatyczniejsza figurka w trupie teatru ludowego. Nie weźmie też z pewnością za złe nazwania jej figurką. Bo choć siłą w tym teatrze jest bardzo wybitną, odznacza się nadzwyczajną skromnością. Jest to zaleta w każdym razie niepowszednia, zwłaszcza u artystki. Tem więcej też zasługuje na podkreślenie.

Talent p. Zielińskiej stoi w odwrotnym stosunku do jej wzrostu. „Wiem, że nie jestem ładna i że nie mam wzrostu, więc też muszę dwa razy lepiej grać, niż każda inna“ — mówi szczerze p. Zielińska. I gra nietylko dwa razy, ale dziesięć razy lepiej. W rolach subretek, w rolach wymagających lekkości, wdzięku, jest wprost niezrównana, nic dziwnego też, że ma tyle sympatyi u publiczności. Ale p. Zielińska ma dużo sympatyi u kolegów a nawet u koleżanek, co już należy do wielkich rzadkości.

Karyera sceniczna p. Zielińskiej jest niedługa. Przed trzema laty rozpoczęła zawód w Sosnowcu, pod dyrekcyą Majdrowicza, gdzie wnet dała się poznać jako siła dużego talentu. Z Sosnowca przyjechała do Krakowa i tu za dyrekcyi p. Pdlenskiego była podporą sceny teatru ludowego.

Dyr. Rygier, przeprowadzając zmiany w składzie swej trupy, p. Zielińską zatrzymał, bo poznał i ocenił, jak doskonałą w niej posiada siłę.

Jak wielką zaś sympatyą cieszy się p. Zielińska wśród publiczności, dowodem był jej benefis w poprzednim tygodniu, w roli Hani w operetce „Figle wiosenne“. Mimo, że to było 12-te przedstawienie tej sztuki, teatr był pełny, a benefisantka dostała mnóstwo bukietów i kwiatów a za każdą piosenkę zbierała huczne oklaski.

Oby w dalszej karyerze towarzyszyło jej to samo powodzenie, na które w całej pełni zasługuje.



Sabina Zielińska.

Głosy publiczne.

Teatr Rozmaitości w Parku krakowskim cieszy się stałem powodzeniem. Ale bo przyznać trzeba, że doświadczone kierownictwo nie szczędzi trudów ni kosztów, by publiczność zadowolnić i dać jej rozrywkę wielkiej artystycznej wartości.

Wspaniały jest nowy program, który zajmie wieczory w drugiej połowie czerwca. Z pomiędzy mnóstwa atrakcyi wyróżnia się Olimpia Desvall w akcie sportowym z tresowanymi psami i końmi Dalej wymienić należy sławnego „Tacianu“, sopranistę i imitatora damskiego głosu, trio japońskie, ekwilibrystyczne „Hinode“, tresurę małp „Kadona z Borneo“, oraz produkcye wokalne i gimnastyczne.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 23.

Zadanie konikowe:

Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy,
Młodości podej mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem,
— rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła.
Adam Mickiewicz: „Oda do młodości“.

Zagadka. Sęk, kęs.

Logogryf: Złota czaszka.

Zagadka po przestawieniu: Kto doje, dopije, ten w rozum nie tyje.

Szarada Borówki.

Łamigłówka: Anima vilis.

Kwadrat magiczny: bej, ara, raz, Bar, era, jar.

Zagadka: Rut, tur.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, A. Bilinski Tarnopol, G. Obraczay Kraków, W. Gowaliński Rzeszów, B. Lindenbaum Czerniowce, K. Pelz Lwów, R. Głowacki Warszawa, J. Korzeniowski Kraków, M. Gebhart Kraków, W. Bratoszyński Kraków, S. Trebicki Lwów. S. Weigel Łódź, K. Stöger Warszawa, A. Grodecki Rzeszów, J. Daszyński Rawa, J. Krupiński Kraków, I. Zbyszewski Sanok, J. Wyka Rzeszów, L. Oginski Lwów, J. Fränkel Podgórze, S. Jachimski Kraków, H. Harasowski Krowica, K. Fuchs Czeremchów, J. Januszewski Podgórze, J. Augustynowicz Żywiec, A. Polończykowa Żywiec, E. Bogdalska Koropuż, W. Trojacki Wietrzychowice, M. Kuzia Wadowice, H Chodkiewicz Warszawa, S. Cześnikiewicz Kraków, M. Kościński Żarki, W. Rapacz Zarki, M. Nalepa Kołomyja, L. Ogibiński Kraków, S. Balicki Kraków, J. Reblucha Lwów, K. Los Rzeszów, M. Link Koło. W. Ostersetzer Lwów, J. Buciewicz Tarnów, B. Rafałowski Kraków, A. Ameisen Kraków, S. Lichański Tarnów, B. Gryziecki Radom, W. Giżycki Krosno, J. Branet Nowy Sącz, J. Lebiedziński Grdziska, J. Kotowicz Krakow, S. Grzegorzewski Rzeszów, M. Tomicka Lwów, B. Wawrzkowicz Ostrów, J. Czerkawski Kolbuszowa, J. ASmatys Kraków, W. Lesiowski Radom, K. Klimek Sądowa Wisznia, J. Smereczyński Brody, J. Krzyżanowski Olesko, W. Ostaszewski Kraków, J. Borkowski Częstochowa, E. Majer Sandomierz, B. Gliński Warszawa.

Nagrodę za dobre rozwiązanie otrzymał *p. Wawrzkowicz Ostrów*. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Z facecyi autentycznych.

Pewnemu profesorowi matymatyki wydarzył się wesoły przypadek. Profesora tego wyjątkowo uczniowie go nie lubili, to też wchodząc raz do klasy, ujrzał wcale udatną swą podobiznę, jadącą na świni, wymalowaną na tablicy przez któregoś z uczniów. Nie mówiąc ani słowa, cofnął się szybko i udał na skargę do dyrektora. Tymczasem uczniowie, spodziewając się przykrych następstw, zmazali szybko postać profesora, zostawiając na tablicy tylko wcale zgrabną świnkę, galopującą sobie wesoło.

Po chwili otwierają się drzwi, profesor wprowadza dyrektora i nie patrząc na tablicę powiada:

— O... proszę pana radcy, mój portret!

Dyrektor, który miał krótki wzrok, założył okulary, popatrzył się na tablicę, potem zwrócił wzrok na wzburzonego profesora i rzekł poważnie:

— Wie pan kolega... nie widzę wcale tego uderzającego podobieństwa, o którem pan wspominał na korytarzu!

W klasie zerwał się ryk formalny, profesor popatrzył na tablicę i z kolei sam zbaraniał..

Pod grozą szkarlatyny.

Jak wiadomo panuje w Krakowie szkarlatyna, która z pomiędzy dzieci szkolnych zabiera liczne ofiary. Gdy w ubiegłym tygodniu z powodu rocznicy bitwy pod Aspern uwolniono dzieci szkolne od nauki, syn pana Mateusza, szewca z ulicy Długiej, wraca zaraz po ósmej z powrotem do domu.

— A ty czego nie siedzisz w szkole? — pyta matka, zgniewana, że chłopak będzie jej rano przeszkadzał.

— Bo proszę mamy pan *psor* kazał nam iść do domu!

— A to z jakiego powodu?

— Z powodu *Aspern...*

— Co?... Jakiego *Aspern?*

— Jak mamę kocham, tak pan *psor* powiedział, proszę się pójść spytać!

— Skaranie boskie z tymi doktorami — konkluduje mama w swej naiwności — znowu wymyślili jakąś nową chorobę na moje strapienie. Zamiast sie dzieć w szkole, będzie mi bęben zawadzał całe przedpołudnie!

Pobożne westchnienie króla Piotra.

Król Piotr serbski zrobił, jak wiadomo, bardzo dobry interes na spodziewanej wojnie z Austryą, gdyż spekulował na giełdzie i dzięki temu zupełnie uczciwie „uciułał“ sobie kilkanaście milionów. Nic też dziwnego, że pewnego dnia siedząc przy czarnej kawie i puszczając dymki prawdziwego *portorico*, rzekł do siebie:

— No... jeszcze jedna taka wojna, a będę milionerem! Wtedy mogą mnie Serbowie nawet zdetronizować!

A to kawał.

— Cóż ty mój zięciu wracasz do domu dzisiaj taki rozkoszny i uśmiechnięty, jakim cię od trzynastu lat nie widziałam?

Zięć (krzywiąc się, ujrzawszy teściową): A... a... bo mi powiedziano na ulicy, że mamcia zleciała ze schodów i ręce i nogi połamała — i... i dopiero teraz widzę... że... że to był kawał...“

B. WIERZEJSKI

Kraków, Rynek, róg ul. Floryańskiej

poleca **tanio** w nadzwyczajnym wyborze: **Koszule** kolorowe i białe, **Rękawiczki** z gwarancyą trwałości, **Kapelusze** Przybory do podróży. Jako specyalność: **Krawaty** i **Perfumy.**

Nie sprzedaje nic pruskiego.

Tylko K 2·80 **Letnie Koce do spania** **Tylko K 2·80**

Moje oryginalne koce o barwie tygrysiej w każdym oszczędnym domu prawie niezbędne, ponieważ mogą być użyte do każdego celu.



Treść i klisz w Austro-Węgrzech zastrzeżone pod Nr. 1898. Naśladownictwo będzie sądownie dochodzone.

Moje **oryginalne koce do spania koloru tygrysiego** są około 130 cm. szerokie, 200 cm. długie, ważą około 1000 gr. i wysyłam wspaniałe koce te

po Kor. 2·80 za sztukę.

Każdy Czytelnik „Nowości Illustrowanych“ powinien w swoim własnym interesie zrobić zamówienie próbne gdyż niema przytem żadnego ryzyka. Jeśli koce się nie spodobają, przyjmiemy je bez żadnych dalszych trudności napowrót a pieniądze zwrócimy.

Wysyłka tylko za zaliczką lub za poprzedniem nadesł. należytości.

Pierwszy morawski dom wysyłkowo-towarowy
JULIUSZ HOITASCH, GÖDING Nr. 590, MORAWA.

Korzystna okazya zakupów

handlarzy i domokrążców sprzedających **towary łokciowe**; wysyła się także prywatnym:

40—45 m. á Kor. 15

w różnych gatunkach, materye na bluzki, 78 cm. szerokie delikatne najnowsze modne desenie, zefir na koszule i bluzki, wyborne surowe płótno na koszule, kanafas, pościel, oksford na koszule męskie, materye na damskie fartuszki, materye z błękitnym deseniem na fartuchy i suknie lomowe śliczne modne desenie.

Resztki długości od 6—10 metrów.

Gwarancya, bez żadnej wady i o barwie niepuszczającej, jakość pierwszej klasy. Za towar niepodobający się zwracam pieniądze natychmiast.

Najmniejsza wysyłka 1 pakiet pocztowy 40—45 m. za zaliczką. — Zamówienia uskutecznia się również w różnych gatunkach wedle własnego zapodania.

Tkalnia płótna Karol Kohn, Nachod, Nr. 172, Czechy.

Brzydkiem jest urządzenie życia

że nawet między jaśniejącymi kwiatami czyhają niebezpieczeństwa, które mogą się stać fatalnemi. Takiemi niebezpieczeństwami są przeziębienia letnie, tylko że się ich nie traktuje z należytą powagą, a skutki złe zawsze się objawiają. Najwygodniejszym i najprzyjemniejszym sposobem do zwalczania ich stanowi używanie Faya prawdziwych Sodeńskich pastylek mineralnych, które nabyć można w każdej aptece, drogueryi i w handlach wód mineralnych po 1·25 kor. pudełko. Jeneralne zastępstwo na Austro-Węgry: W. Th. Guntzert, Wiedeń, IV/1 Grosse Neugasse 17.

= Tryumf =
francuskiej kosmetyki



Pełny biust otrzyma Pani zapomocą **Eliksiru Lavalier**. **Na zewnątrz** pewnie skutkujący preparat **Lavaliera w Paryżu.** — Cena flaszki K 8. Na składzie w apt., droguer., perfumer. lub za zaliczką przez **Lavalier-Depot.** Wien, I. Karlsplatz 3.

SALONOWY KWARTET

to jest:

2 skrzypiec, fortepian i altówka, 2 panie i 2 panów grająсy utwory klasyczne jest zaraz do dyspozycyi.

Na żądanie może być kwintet lub sextet.

ADRES:
A. Gibelini, Kowno
Poste-restante.

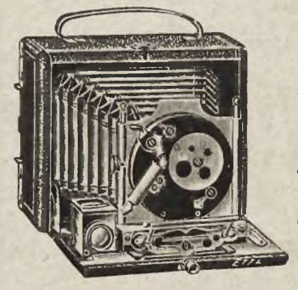
Senatoryum i Zakład Wodoleczniczy

spec. chor. nerwowych.

Dra Kupczyka

Kraków ulica Szujskiego 11.

Kamera Kraków, Szewska 27 (róg plant)



SKŁAD APARATÓW i PRZYBORÓW FOTOGRAFICZNYCH

Cenniki darmo i opłatnie. Zamówienia uskutecznia się odwrotną pocztą.

CIECHOCIŃSKI ZAKŁAD

KĄPIELOWO-ZDROJOWY powiat Nieszawki, gub. Warszawska, jest otwarty od dnia 8-go (21) maja do d. 8-go (21) września, włącznie. Wody Ciechocińskie **jodo-bromo-słone** szczególniej są pożyteczne w cierpieniach **skrofulicznych, reumatycznych, kobiecych i wielu innych. Niema dziecka, które nie potrzebowałoby kąpieli Ciechocińskich.** Zakład posiada 10 źródeł z rozmaitą koncentracyą solanki 6% do $\frac{1}{3}$% (artezyjskie do picia). W razie potrzeby, dla wzmocnienia solankowej kąpieli dodawany bywa Ciechociński szlam i ług, produkty lecznicze, wytwarzane na miejscu przy warzeniu soli. — W Ciechocinku można brać kąpiele: **solankowe, błotne, kwasowęglowe, elektryczne, świetlne, łaźnie, tuszówki, inhalacye,** oraz **zabiegi hydropatyczne.**

W zarządzie Zakładu jest do nabycia Ciechociński szlam leczniczy i Ciechociński ług leczniczy, stosowane do przyrządzania w domu sztucznych kąpieli Ciechocińskich, oraz gazowana solanka $\frac{1}{3}$% i 1% do picia. — Ciechocinek łączy się odnogą kolei Warszawsko-Wiedeńskiej z pograniczną stacyą Aleksandrowo. Komunikacya ze wszystkimi pociągami warszawskimi i zagranicznymi. Tania komunikacya Wisłą — statkiem parowym. Na każde zapotrzebowanie są wysyłane bezpłatnie cenniki.

BRACIA SPERBER

Kraków, Rynek gł. 30, róg ul. Szewskiej 2.

Fabryczny skład płótna i bielizny stołowej.

Zakład dla wypraw ślubnych oraz Magazyn Bielizny męskiej, damskiej i dziecinnej. Konfekcya damska. Modele dla fabrykacyi bielizny.

BAZAR KRAJOWY W KRAKOWIE
RYNEK L. 20.

Burki Zakopiańskie

:: NIEPRZEMAKALNE ::

od kor. 14-tu i wyżej

Burki Sławuckie

Cenniki darmo i opłatnie

PERFUMY krajowe francuskie i angielskie

Gąbki, Grzebienie i wszelkie inne artykuły toaletowe

NOWOŚĆ: MYDŁA na wydelikatnienie cery Violettes de Nice »Nr. 810« karton 3 sztuk za Koron 2.00.

Mydła kwiatowe o silnym zapachu karton 6 sztuk Kor. 1·00 i za 1 kg. Kor. 2·00.

Mydła przetłuszczone Malinowskiego z Warszawy.

Schampoo-Tarool do mycia głowy i przeciw łupieżowi.



Kule i kręgle z drzewa Lignum Sanctum

Huśtawki ogrodowe, hamaki i przyrządy gimnastyczne.

Reim i Spółka Kraków

Rynek 37 Linia A. B.

polecają po cenach najtańszych



LAWN TENNIS
RAKIETY, PIŁKI.
Bomerang i Diabolo
najnowsza gra i zabawa.



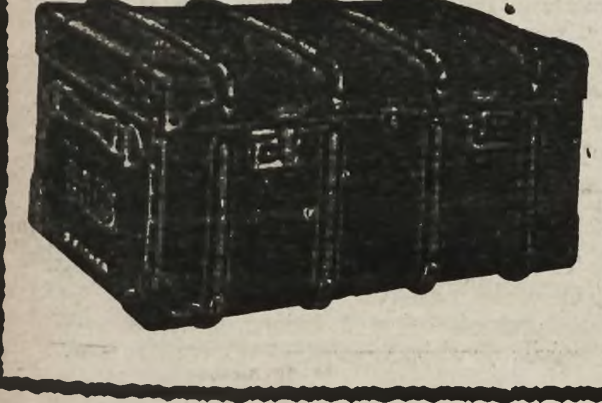
Piłki nożne

Przybory do rybołowstwa.

Przybory podróżne i kąpieowe.

SYFONY i Kapsle SPARKLETS do robienia wody sodowej.

Cenniki darmo i opłatnie



Zdzisław Zdanowicz, Kraków

ulica Sławkowska L. 3. — Hotel Saski — Telefon 516.

Magazyn galanteryjny.
Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

ZAPACH DAMY W CZERNI

napisał Gaston Leroux.

17 (Ciąg dalszy)

Podtrzymywałem nieszczęśliwą, gdyż czułem jak słabnie i wtedy w tę noc, wśród huraganu, uczułem nagle jej zapach, łagodny i przenikający zapach Damy w czerni!... Ach! Wtedy pojąłem, jak Rouletabille mógł pamiętać po latach o tym zapachu. Kto raz go poczuł i nim się przejął, ten czuł już przez życie całe łagodny, a zarazem odurzający zapach Damy w czerni i serce pozostawało nim przepojone, czy to było serce syna, jak Rouletabille'a, czy serce kochanka, jak Darzaca, czy serce bandyty, jak Larsana... Nigdy już nie można było pozbyć się pamięci tego zapachu i teraz pojmuję Rouletabille'a, Darzaca i Larsana i rozumiem wszystkie nieszczęścia córki profesora Stangersona.

Trzymając się mego ramienia, Dama w czerni zawołała swego syna, lecz Rouletabille rzucił się przed siebie i znikł w nocy, wołając: „Zapach Damy w czerni! Zapach Damy w czerni!“

Nieszczęśliwa, łkając, pociągnęła mnie ku wieży; zapukała do drzwi, które otworzył nam Bernier i z płaczem weszła do środka. Mówiłem jej rzeczy banalne, starając się uspokoić ją i wszystko bym uczynił, by módz, nie zdradzając nikogo, dać jej pojąć, jaką rolę odgrywam w tym dramacie między natką a dzieckiem.

Zwróciła się na prawo do salonu, poprzedzają cego pokój starego Boba. Byliśmy sami. Poddała mnie doświadczeniu, jakiego nie oczekiwałem i gdy nagle zapytała niespodzianie: „Czy pan dawno już był w Treport?“ — więcej byłem tem przerażony, niż piorunami. Zrozumiałem odrazu, że teraz, gdy nawałnica zwolna poczęła słabnąć, nastąpią dla mnie najniebezpieczniejsze ataki. Musiało mnie zdradzić wzruszenie, wywołane tem niespodzianem zapytaniem. Z początku nie odpowiedziałem nic; wyjąkałem kilka słów, które winny się były wydać śmiesznemi. Wtedy wzięła mnie za ręce i rzekła tonem, którego nigdy już nie zapomnę.

— Pan jest jego przyjacielem. Niech mu pan powie, żeśmy dosyć już nacierpieli się we dwoje! I z wielkiem łkaniem dodała:

— Dlaczego nie chce się przyznać?

Nie odpowiadałem, bo i cóż mogłem powiedzieć tej kobiecie, dla której zawsze byłem tylko obcym, a która teraz płakała przedemną, jak stara przyjaciółka... Opowiedziała mi wszystko, dowiedziałem się tego, co skrywał jeszcze przedemną jej syn. Widocznie to wzajemne przemilczanie nie mogło trwać dłużej i chwila przyznania się nadchodziła. Popychana instynktem, chciała dowiedzieć się ostatecznie, kim jest ten Rouletabille, który ocalił ją, który jest w wieku tamtego ...i podobnych rysów twarzy. Dnia tego przyniesiono jej list, stwierdzający, iż Rouletabille nie był nigdy w żadnym zakładzie naukowym w Bordeaux. Zażądała od niego tłomaczenia, lecz Rouletabille uchylił się od tego; mimo to zmieszał się, gdy mu mówiła o Treport i kolegium w Eu i o naszej tam wycieczce.

— Skąd pani o niej wie? — zapytałem, zdradzając się tem.

Jednem zdaniem wytłomaczyła mi wszystko. Nie poraz pierwszy była w naszych pokojach, gdym ją wieczorem tam zastał... Na moim kufrze była jeszcze etykieta bagażowa z Eu.

— Dlaczego nie rzucił się w me objęcia, gdym wyciągnęła ku niemu ręce? — zapytała ze łzami. — Jeżeli nie chce być synem Larsana, czy nie zgodzi się także być mojem dzieckiem?

Rouletabille okrutnie obchodził się z tą kobietą, która przez dłuższy czas uważała swe dziecko za umarłe i naraz przekonywa się, że ono żyje. Poprzedniego wieczoru roześmiał się tylko, gdy zdenerwowana i wyczerpana powiedziała mu, że miała syna i że on nim jest.

Postępował niegodnie. Całowałem jej ręce, prosząc o przebaczenie dla Rouletabille'a. Nie chciałem już nic więcej wiedzieć; wybiegłem szybko na dziedziniec, by go poszukać, lecz tam go nie było.

W oknie jego pokoju ujrzałem światło. Wbiegłem szybko na schody, przeskakując po kilka stopni i wpadłem do mieszkania. Przedemną stał Rouletabille.

— Czego chcesz? — zapytał.

Kilkoma urywanemi zdaniami opowiedziałem mu, com usłyszał od niej.

— Nie wszystko ci powiedziała, mój drogi — rzekł zimno. — Nie wspomniała o tem, iż zabrania mi dotykać się tego człowieka!...

— Ach, tak?...

— Tak. Cóż teraz mi powiesz? Nie wiesz także, czego zażądała odemnie wczoraj?... Każe mi wyjechać! Woli umierać, niż widzieć, że walczę z swym ojcem!

I podniecony zawołał głośno:

— Tak, z mym ojcem! Sądzi, że on jest silniejszy odemnie!...

Straszny był, gdy to mówił.

Naraz cały się zmienił, jakby zajaśniał jakąś wewnętrzną myślą.

— Boi się o mnie!... lecz ja boję się o nią!... *I nie znam już swego ojca... ja nie znam swej matki.*

Naraz w chwili tej rozległ się strzał i rozbrzmiał jakiś śmiertelny głos. Czułem, jak włosy powstają mi na głowie. Rouletabille zachwiał się, jakgdyby był trafiony. Lecz natychmiast podskoczył do otwartego okna i rozpaczliwy okrzyk napełnił fortecę:

— Matko moja! Matko! Matko.

XI.

Podbiegłem ku niemu i wziąłem go swe ramiona. W wołaniu jego matki była taka straszna rozpacz, jakaś zapowiedź nadludzkiej pomocy, iż bałem się, by nie skoczył przez okno. Nagle odwrócił się, przewracając mnie na ziemię i nie zważając na nic wybiegł jak huragan.

Pozostałem na miejscu przy oknie, jakby przykuty do niego tym okrzykiem. Patrzyłem na dziedziniec, gdy rozwarły się drzwi Wieży Czworobocznej i w snopie światła dobywającego się z wewnątrz, ujrzałem postać Damy w czerni. Więc żyła, lecz na jej bladej, jakby trupiej twarzy, malował się niewypowiedziany przestrach. Wyciągnęła obie ręce ku nocy i noc oddała jej syna, ramiona Damy w czerni zwarły się koło Rouletabille'a i słyszałem tylko westchnienie i te dwie sylaby: „Mamo! mamo“.

Wyszedłem na dziedziniec, gdyż ten widok, jaki oglądałem, nie uspokoił mnie jeszcze. Skąd dobył się ten głos śmiertelny, gdy ona żyje.

Na dziedzińcu nie było nikogo, nikt więc nie słyszał tego strzału. Lecz gdzie jest Darzac? gdzie stary Bob? czy pracuje jeszcze w swym gabinecie? A Mahtoni, który był na straży, czy również nic nie słyszał? A Bernierowie? Nie widziaiem ich. Drzwi Wieży Czworobocznej pozostawały otwarte. Dochodził mnie szept: „mamo, mamo“ i przerywane łkaniem słowa: „mój synu, moje dziecko“. Nie mieli nawet tyle ostrożności, by zamknąć drzwi od salonu Boba, do którego weszli.

Zatrzymałem się bezwiednie i stałem się mimowolnym świadkiem pierwszych wylewów czułości między matką a synem. Spowici w uścisku zwierzali się: „Ty wiesz, mamo, że to nie ja ukradłem“! Z brzmienia głosu zdawać się mogło, że to mówi dziewięcioletni Rouletabille: „Nie, mój synu, ja wiem, tyś nie brał cudzego, dziecko kochane“. Nie moja wina, żem to słyszał.. sam byłem do łez rozczulony.

— Lecz gdzie Bernier? Wszedłem do ich mieszkania, by dowiedzieć się, kto strzelał i kto krzyknął...

Matka Bernier siedziała w rogu pokoju, oświetlonego słabą lampką. Zbliżyłem się do niej; na twarzy jej malował się przestrach, cała drżała.

— Gdzie jest ojciec Bernier? — zapytałem.

— Tam jest — odrzekła szeptem.

— Gdzie tam?

Nic już nie odpowiedziała.

Postąpiłem kilka kroków w pokoju i nastąpiłem na jakiś przedmiot. Schylając się, przekonałem się, że są to rozsypane kartofle. Czyżby matka Bernier nie pozbierała ich jeszcze, gdy je Rouletabille rozrzucił?

Zapytałem znowu:

— Strzelano!... Co się stało?

— Nie wiem.

W chwili tej usłyszałem zamykanie drzwi i zaraz na progu ukazał się ojciec Bernier.

— Ach, to pan jest?

— Bernier!... Co to było?

— Oh, nic ważnego, proszę pana, niech się pan uspokoi, nic ważnego. Wypadek bez żadnego znaczenia. Pan Darzac, kładąc rewolwer na stoliku nocnym spowodował mimowoli wystrzał, a pani przestraszyła się i krzyknęła; ponieważ okna były otwarte, domyśliła się, że pan i pan Rouletabille to usłyszeli i wyszła uspokoić panów.

— Pan Darzac wrócił więc do siebie?

— Przyszedł zaraz, jak tylko pan opuścił wieżę, a strzał padł natychmiast po wejściu jego do pokoju. Ja także bardzo się przeraziłem. Zaraz tam pobiegłem!... Pan Darzac sam mi otworzył. Na szczęście nikt nie został raniony.

— Zaraz po mojem wyjściu z wieży, pani Darzac wróciła do siebie?

— W tej samej chwili usłyszała, że pan Darzac powraca i poszła za nim, a weszli do pokoju razem.

— A pan Darzac? Pozostał w mieszkaniu?

— Oto jest pan!...

Obróciłem się i ujrzałem Roberta Darzaca: mimo skąpego światła, dojrzałem, że jest niezwykle blady. Dał mi znak, prosząc do siebie.

— Bernier zapewne opowiedział już panu wypadek. Nie potrzeba go rozgłaszać, gdyż więcej nikt nie słyszał wystrzału. Po co niepokoić ludzi, nie prawda?... A do pana mam pewną prośbę,

— Proszę bardzo — rzekłem — jestem panu zupełnie oddany, pan o tem wie. Proszę mną rozporządzać, jeżeli mogę być pożytecznym.

— Dziękuję: chodzi tylko o skłonienie Rouletabille'a, by się położył spać; gdy on pójdzie, żona moja uspokoi się i sama uda się na spoczynek. Przedewszystkiem potrzeba nam spokoju, wszyscy go potrzebujemy.

— Dobrze, proszę liczyć na mnie.

Uścisnąłem go silnie za rękę, by w ten sposób wyrazić swe oddanie się: czułem, iż wszyscy tutaj skrywają coś ważnego.

Wrócił do swego pokoju, ja zaś nie zawahałem się wejść do salonu starego Boba po Rouletabille'a. Na progu spotkałem się z Damą w czerni i jej synem, którzy stąd już wychodzili. Oboje byli milczący i tak dziwny mieli wyraz zwłaszcza po poprzednich czułościach, iż zdziwiony stanąłem przed nimi bez słowa i bez żadnego ruchu. Zastanawiało mnie to, iż już rozchodzą się w takim spokoju. Matylda pocałowała syna w czoło i rzekła smutnym, a zarazem uroczystym głosem: „Do widzenia drogie dziecko“. Rouletabille, nie odpowiadając ani słowem, pociągnął mnie z wieży; drżał jak liść w czasie wiatru.

Sama Dama w czerni zamknęła drzwi Wieży Czworobocznej. Pewny byłem, że tam wewnątrz dzieje się coś niezwykłego. Opowiadanie o wypadku nie zaspokoiło mnie: również i Rouletabille nie wierzył w to.

Stanąłem razem z nim w załamie murów między Wieżą Czworoboczną a Wieżą Karola Zuchwałego. Tam — rzekł mi pocichu:

— Przysiągłem matce, że nie będę patrzył, ani słuchał tego, co się dziać będzie tej nocy w Wieży Czworobocznej. Jest to pierwsza przysięga, jaką swej matce uczyniłem; zbawienie jednak swoje poświęcę dla niej! Muszę widzieć i słyszeć...

Staliśmy na miejscu nieporuszeni już od pięciu minut, gdy westchnienie, jakiś jęk głęboki, jakby ostatnie tchnienie w agonii, głucha skarga, doleciało nas z otwartego okna i czoła nasze okryło potem. I nic już więcej nie słyszeliśmy tylko szum morza; po chwili zagasło i światło w tem oknie i dokoła zapanowały zupełne ciemności. Schwyciliśmy się za ręce, nakazując sobie tym niemym znakiem spokój i milczenie. Ktoś umierał w tej wieży! Ktoś, kogo przed nami ukrywano. Dlaczego? Kto to był? Nie jest to ani pani Darzac, ani jej mąż, ani Bernierowie, ani stary Bob. Ktoś, kto nie mógł być w wieży.

Pochyleni naprzód, z oczami utkwionemi w to okno, słuchaliśmy jeszcze. Upłynął tak kwadrans równy wiekowi. Rouletabille wskazał mi głową na okno swego oświetlonego pokoju. Zrozumiałem. Trzeba było zagasić to światło. Przedsiębiorąc jak największe ostrożności, uczyniłem to i w pięć minut potem wróciłem na dawne miejsce.

Zaledwie stanąłem koło Rouletabille'a w załamie muru, gdy usłyszeliśmy wyraźnie, jak wolniutko i po cichu otwierają się drzwi Wieży Czworobocznej. Gdy wychyliłem się naprzód na dziedziniec, Rouletabille odepchnął mnie w kąt, a sam tylko wystawiając głowę; był on jednak pochylony i mogłem patrzeć z poza jego pleców. Ujrzałem dziwny widok.

Z początku ojciec Bernier, którego rozpoznaliśmy mimo ciemności, wyszedł z za drzwi i bez najmniejszego szelestu skierował się pod sklepienie Wieży Ogrodniczej. Pośrodku dziedzińca zatrzymał się, spojrzał w nasze okna, potem obrócił się do wieży i dał jakiś znak, który przyjęliśmy za znak uspokojenia. Komu on go posyłał? Rouletabille wysunął się naprzód, lecz w tej chwili cofnął się szybko z powrotem.

Gdyśmy znowu odważyli się wyjrzeć, na dziedzińcu nie było już nikogo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

ZAGADKA.

Ułożył J. Janiszewski, Podgórze.

Pieć literek w całem słowie
Ledwie widzę,
Powiedziałbym, jak się zowie,
Lecz się wstydzę.

Brzmi jednako z przodu, z tyłu,
Jest w aptece,
Gdy mnie „w wnątrzu“ coś zaboli,
Po to lecę.

SZARADA.

Ułożył J. Janiszewski, Podgórze.

Pierwsza cała z drugiej częścią w Wiśle kończy życie,
I w niej dalej z siostrzycami aż do Gdańska płynie,
W tym wyrazie także zwierzę z pewnością ujrzycie,
Z ich hodowli zwłaszcza Serbia w całym świecie słynie.
Drugiej reszta się znajduje w rzedzie samogłosek,
Całość zawsze mi smakuje i smakować będzie,
I nie wątpię, że każdemu mile drażni nosek,
Oprócz Żydów i Osmanów zjadają ją wszędzie.
Skoro najem się do syta, aż po samą szyję,
Wówczas się trzeciego z czwartem z rozkoszą napiję!
Więc wstępujcie w moje ślady i starzy i młodzi
Woda bowiem po całości absolutnie szkodzi.

ZAGADKA RACHUNKOWA.

Ułożyła E. Bandrowska Kraków.

Powyższe cyfry tak uporządkować. aby suma cyfr w kierunku pionowym, poziomym i wzdłuż przekątni dała 25.

1	3	5	7	9
1	3	5	7	9
1	3	5	7	9
1	3	5	7	9
1	3	5	7	9

ZAGADKA.

Ułożyła K. Schwarzówna, Łaskowce.

Łodzią biblijną jestem wprost czytana,
Na wspak zaś „stylem perukowym“ zwana.

ŁAMIGŁÓWKA LITERACKA.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Wyszukać po jednem dziele każdego z podanych autorów.

Dygasiński ?
Ibsen ?
Bałucki ?
Choiński ?
Lie ?
Rodziewiczówna ?
Paprocka ?
Gawalewicz ?
Kowerska ?

Początkowe głoski dzieł, czytane z góry na dół utworzą tytuł powieści E. Orzeszkowej.

LOGOGRYF.

Ułożyła Ewa B. Kraków

Z podanych liter ułożyć szereg wyrazów, których środkowe głoski, czytane z góry na dół dadzą nazwisko znanego polskiego krytyka literackiego.

a a a a a
a b c d e
e e g
h i i
i i i k k
k m m
n n n o o
o o r r r
r s s
t u w w z

Znaczenie wyrazów: 1. Owad. 2. Poemat Byrona. 3. Imię żeńskie. 4. Inaczej ukrop. 5. Poeta włoski. 6. Ptak. 7. Inaczej przegląd wojska. 8. Znakomity pisarz i poeta norweski. 9. Część głowy. 10. Inaczej zakonnik.

LOGOGRYF.

Ułożyła K. Schwarzówna, Łaskowce.

Utworzyć szereg wyrazów, których litery środkowe czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko znakomitego poety polskiego.

□
— □ —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Rodzaj utworu poetyckiego. 3.Bohater grecki z pod Troi. 4. Nocny motyl. 5. Samogłoska. 6. Owad. 7. Rzadka tkanina. 8. Starożytne miasto fenickie. 9. Spółgłoska.

SZARADA.

Ułożył K. L. Czortków.

Pierwsza, jest to leśne zwierzę,
Druga na coś ci wskazuje,
Trzecia po Włoszech nurtuje
A wszystko tam nazwę bierze.
Gdzie jesień koniec znajduje.

ZAGADKA.

Ułożył K. L. Czortków.

Warszawa, Wężyk, wróg, Wisła, wesele,
Wiadro, Walusia, Witebsk, wierzyciele.
Z tego nazwisko złóż,
Biorąc z każdego słowa głoskę jedną,
Poety, który rzucił Polskę biedną,
By skonać w woni róż!

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Juliusza Germana:* „**W gospodzie pod trzema zbójami**“.